Posłaniec



MATKI BOSKIEJ SALETYŃSKIEJ

ROK XX-XXVII. PAŹDZIERNIK — Nr 10.

Treść numeru:

Cena **15** złotych.

To i owo

Trudno było wywalczyć zwycięstwo, ale niemniej trudno przychodzi Europie i światu całemu zdobyć równowagę i spokój. Ludzkość podobna jest w tej chwili do mocarza, który wydobył z siebie ogromny zapas sił, by powalić przeciwnika. Ale i sam ledwo trzyma się na nogach, drżąc wszystkimi włóknami muskułów. Trudności niezliczone, gospodarcze i polityczne.

Ameryka ze swoim przemysłem, rozbudowanym niezmiernie w czasie wojny, ze swoimi bogactwami naturalnymi, ze swoimi dolarami — dusi się, choruje na przesyt. Nie może sama spotrzebować swoich dóbr, więc szuka rynków zbytu. Szuka, oczywiście, w zniszczonej Europie. Chętnie włożyłaby swoje dolary nawet w odbudowę przemysłu niemieckiego. Idą konferencje za konferencjami: w Paryżu, Londynie, Waszyngtonie, lecz bez większego powodzenia. Narody słowiańskie boją się odbudowanych Niemiec. Francja też daje do zrozumienia, że woli, by węgiel i koks niemiecki szedł do niej, niż by jej stal szła do Niemiec. Natomiast uśmiecha się jej myśl jedności gospodarczej z Włochami.

Wielkiej i szybkiej pomocy potrzebuje Anglia, która teraz chwałę zwycięstwa opłaca tak ciężkim położeniem, jakiego nie przeżywała nawet w czasie wojny. Pierwsza połowa bieżącego roku przyniosła 1,620 milionów dolarów deficytu w handlu zagranicznym. Pożyczka na przeszło 2 i pół miliarda dolarów, zaciągnięta w Stanach Zjednoczonych, jest na wyczerpaniu. Tak zawsze ostrożni Anglicy nie wykorzystali jej dość mądrze: 184 miliony zużyli na zakupno tytoniu, 62 na filmy, 385 na żywność, z czego znaczną część stanowiły artykuły zbytkowe. A na zakupy maszyn zużyto ledwie 216 milion., na wyposażenie marynarki: 108. Przed wojną 41% swoich wydatków pokrywała Anglia sprzedażą węgla i fabrykatów, resztę dochodami z kapitałów umieszczonych za granicą. Dziś handel zmalał, bo marynarka poniosła ogromne straty, zamiast kapitałów zostały długi. Węgla potrze-

Spełnione wszystkie marzenia

Szary kamień był drogą pamiątką po matce, lecz za ubogi to tron dla takiej Królowej... Nędzna, z desek zbita, kapliczka była świadkiem najwspanialszych pielgrzymek i najgorętszych modlitw, lecz zbyt mizerna to świątynia dla Matki Bożej. Jej należał się inny tron, inna świątynia.

Ks. biskup w tym samym roku, w którym uznał zjawienie, zapowiedział budowę świątyni na górze. Wiadomość została powtórzona przez dzienniki katolickie i przyjęta z zapałem przez wiernych Z całego świata popłynęły ofiary. Zamożni chętnie składali nieraz bardzo wielkie sumy. Ubodzy pozbawiali się najkonieczniejszego grosza. Biedna sodalistka, dotknięta nieszczęściem, piątą część nikłego zarobku, jaki ciągnęła z ręcznych robótek, odkładała, aż uzbierała 65 franków dla Marii Saletyńskiej. Gdy zarządzono zbiórkę wśród dzieci, malcy gromadnie stawili się w kościele Pięcioletni chłopak otrzymane zabawki i grosze chowa starannie. To dla Najśw. Panny z la Salette. Inni, z bardzo ubogiej rodziny, proszą mamusię o parę groszy Mamusia nie ma nic. Lecz oni muszą mieć, bo muszą być tak szczęśliwi jak inni. „Musimy raków nachwytać — zarządził starszy — sprzedamy i złożymy ofiarę". Marzli w lodowatej wodzie, ale w niedzielę siedem drobnych rąk poniosło na tacę dumnie i szlachetnie grosz tak bohatersko zdobyty.

25 maja 1852, ks. biskup de Bruillard, w towarzystwie swego przyjaciela, biskupa z Walencji, poświęcił kamień węgielny pod świątynię.

W przeddzień uroczystości pogoda była piękna. Rzesza pielgrzymów z wszystkich stron zebrała się na górze. Noc przeszła wśród modlitw i śpiewów. Od północy do godz. 10 odprawiają się msze św. Nazajutrz rankiem ks. biskup de Bruillard wspina się konno na miejsce zjawienia. Osiemdziesięciosiedmioletni starzec zadziwia wszystkich odwagą i zimną krwią, okazywaną w ciągu tej długiej i uciążliwej drogi. To jego pierwsza pielgrzymka na święte miejsce. Nie żałuje dla niej poświęcenia. Wspinanie po skarpowatych ścieżynach trwało cztery godziny. W drewnianej kapliczce ks. biskup odprawił mszę św., otoczony zachwyconą gromadą wiernych. Niebawem przybywa i drugi arcypasterz. Cała góra pokryta ludzką rzeszą. A nowi ciągle napływają. Tworzą się kompanie, każda parafia osobno, z krzyżem i swym duszpasterzem na czele. Śpiewy ku czci Najśw. Panny nie ustają.

Niestety pogoda psuje się. Deszcz padający od rana zasmucił serca i pomniejszył wspaniałość obchodów. Jak okiem sięgnąć czernił się dach parasoli.

Na murawie znaczyły się granice nowej świątyni, pośrodku drewniany ołtarz. O godz. 10 obydwaj biskupi wyruszyli procesjonalnie z dawnej, tymczasowej kapliczki ku nowemu ołtarzowi. Przykryci parasolami dokonują czynności liturgicznych ciągnących się do południa. Mimo deszczu, wierni trwają nieporuszenie.

Po południu powrót. Ścieżyny od deszczu stały się jeszcze bardziej niebezpieczne. Jazda konna jest teraz dla biskupa staruszka niemożliwa. Na krześle sporządzonym na prędce, zielenią ozdobionym, ramiona silnych mężczyzn znoszą w dół czcigodnego arcypasterza. Za nim, od szczytu w doliny, nieprzerwana procesja.

Prace około budowy szły raźno. 100 do 200 robotników było stale zatrudnionych. Ale nieprędko stanęła świątynia. Trudności były niesłychane. Kamienie wprawdzie łupano w sąsiednich górach, ale niełatwo je było ściągnąć na miejsce. Grzbiety mułów i koni dźwigały po ścieżynach wszystkie inne materiały budowlane, sprowadzane z dalekich stron. Opieszałe wiosny, wczesne zimy, częste wichury i deszcze dopełniały miary uciążliwości. Dziesięć lat upłynęło, zanim dzieło zostało ukończone w ogólnych ramach. Wśród niedostępnych gór widniała świątynia w stylu romańsko-bizantyńskim, o trzech nawach, długości blisko 50 m., szerokości 15, wysokości 18 m., obliczona na pół trzeciatysiąca wiernych. Marmurowe kolumny o wadze 4 tysięcy kilogramów podtrzymują sklepienie. Potężna fasada, wspartą dwoma wieżami, może się oprzeć największym burzom. Po jednej i drugiej stronie kościoła obszerne zabudowania dają schronienie pielgrzymom. Urządzenie wnętrza trwało znów lata całe. W pomoc szły zbiorowe ofiary i hojność fundatorów. Belgia ofiarowała monumentalną kazalnicę, organy są darem bogatego kupca z Marsylii; sam wielki ołtarz, prawdziwe arcydzieło, kosztował 40 tysięcy franków, zebranych dzięki niezmordowanej działalności jednego z pierwszych misjonarzy.

Bazylika stała na zboczu góry, powyżej miejsca, gdzie Najśw. Panna ukazała się dzieciom. Drogę, którą zakreśliła od zjawienia do zniknięcia, znaczyło czternaście krzyżów. Stały tu od chwili, gdy — było to w r. 1847 — pewien pielgrzym począł odprawiać drogę krzyżową wzdłuż ścieżyny, którą posuwała się Najśw. Panna. Podpadającym jest, że droga Marii na górze Saletyńskiej kształtem przypomina drogę krzyżową Zbawiciela. To Kalwaria Marii Saletyńskiej

Na tej Kalwarii, w r. 1864, umieszczono statuy przedstawiające Najśw. Pannę w różnych chwilach zjawienia. I one są darem pewnego księcia hiszpańskiego. W maju nadeszła figura Matki Boskiej rozmawiającej Całość, składającą się z dwóch części, można było przenieść na grzbietach mułów przy zwyczajnych trudnościach. W lipcu transportowano figurę

Matki Boskiej płaczącej. Figura wielka, ciężka, jednolita. Na specjalnym wozie, ciągnionym przez dwa muły, ubezpieczonym przez osiemnastu mężczyzn, dźwigano drogi ciężar w górę. Miejscami pojazd wisiał w powietrzu, nad przepaścią. Przytrzymywali go powrozami mężczyźni przyczepieni do skał. Zabrzmiały z radości dzwony świątyni, gdy figura stanęła u celu Nazajutrz przewożono, ważącą 650 kg., figurę Matki Boskiej wstępującej do nieba. Trudności były jeszcze większe. Półsiódmej godziny trwała jazda zboczem góry, na przestrzeni niespełna dwóch kilometrów. I tym razem szczęśliwie.

Wreszcie, dawne, drewniane krzyże Kalwarii Saletyńskiej zastąpiono nowymi, żelaznymi, które młodzież z wioski la Salette na własnych amionach wyniosła od kościoła parafialnego na miejsce zjawienia.

Chęć ozdabiania świątyni Marii, pragnienie, by Jej wciąż na nowy sposób objawiać cześć i wdzięczność. nie gasły.

Włożyć koronę na głowę Dziewicy Saletyńskiej stało się marzeniem Jej czcicieli. Już papież Pius IX, który był tak życzliwy dla zjawienia, pragnął koronować statuę Najśw. Panny z la Salette, lecz śmierć nie pozwoliła mu dożyć tej chwili. Jego następca, Leon XIII, przyznał świątyni na górze Saletyńskiej tytuł bazyliki i pozwolił uroczyście koronować statuę Matki Bożej.

Uroczystości trwały trzy dni, od 19 do 21 sierpnia 1879 r. w obecności dziesięciu biskupów, przy wielkim napływie pielgrzymów. 20-go odbyła się konsekracja bazyliki. Całą noc poprzednią trwały nabożeństwa: do północy droga krzyżowa prowadzona przez jednego z biskupów, od północy do 7-mej rano msze św. przy 25 ołtarzach.

Nazajutrz złota korona spoczęła na skroniach Matki Bolesnej a Miłościwej Królowej.

Miała już godną świątynię, wzniesioną niezwykłym wysiłkiem i ofiarnością Swoich czcicieli. Wśród gór samotnych rozbrzmiewały dzwony, przypominając, że jednego dnia spłynął tu cichy szept skargi, upomnienia i przebaczenia z ust Niebieskiej Wysłanniczki. Wspaniałe, brązowe statuy na miejscu zjawienia mówiły o Jej smutku, pragnieniu i chwale. Nieprzerwanie płynące źródło wskazywało na Jej serce, niewyczerpaną krynicę dobroci i miłosierdzia.

Płynęły lata. A do bazyliki płynęły podziękowania i wota kosztowne za doznane dobrodziejstwa. Ściany świątyni pokryły się marmurowymi płytami, a każda z nich głosi, jak dobrą, jak możną jest ta, która tu mieszka.

Kiedyś braknie ścian, braknie miejsca na marmurowe płyty podziękowań. Ale nie braknie darów w miłościwych dłoniach Matki i Królowej z la Salette.

Cz

Rodzina — podstawą wychowania

Mówiliśmy poprzednio, że jak kobieta jest dla rodziny, tak znowu rodzina dla kobiety. To znaczy: najlepsze swoje siły, największą swoją troskę oddawać powinna rodzinie, bo bez tego nie jest możliwe spełnienie obowiązków, nałożonych przez naturę i Boga na tę najważniejszą ze społeczności, społeczność rodzinną. Z drugiej strony znowu, rodzina powinna stworzyć kobiecie takie warunki życia i rozwoju, żeby ona mogła zdolności swoje rozwijać i rozkwitnąć wszystkimi swoimi cnotami, a przez to stać się dla rodziny sercem, bez którego nie ma życia w organiźmie.

Najogólniej mówiąc, pożądany jest więc taki stan, kiedy kobieta pozostaje w rodzinie, a rodzina zapewnia jej dostateczne środki do sprostania wielkiemu jej powołaniu. Wcale to nie oznacza, że się kobiecie zamyka szersze horyzonty i dostęp do pracy. Już to ona narzekać na brak pracy w domu, w rodzinie — nie może. Dosyć na tym, co tu robi, żeby swoją rolę społeczną wypełnić. Dodatkowe zatrudnienie poza domem nie powinno być życiowym musem, koniecznością podyktowaną względem na utrzymanie rodziny. To bowiem należy do mężczyzny i wynagrodzenie rodzinne za pracę, przystosowane do liczebności rodziny, zdolne jest w wielkiej mierze rozwiązać to zagadnienie.

Jeśli więc chodzi o to, by kobiecie szersze otworzyć horyzonty, szersze możliwości, w których mogą się w pełni okazać wszystkie jej uzdolnienia, to dom rodzinny jest pod tym względem środowiskiem właśnie najwdzięczniejszym, a nie dość wykorzystanym. Tu właśnie kobieta może okazać swoją samodzielność, tutaj korzysta z niej w największym stopniu. Zdolności gospodarowania są powszechnie wysoko cenione, a czyż tych zdolności nie musi w sobie rozwinąć każda kobieta, odpowiedzialna za ognisko rodzinne? Jakże to było w czasie wojny — przypomnijmy sobie! Ile przemyślności, ile zapobiegliwości i „cudów" gospodarowania można się było wtedy napatrzeć. A czy tylko wtedy?

A znowu ważna sprawa czystości, zdrowotności i piękna w domu rodzinnym! Za mało do tego przykładamy uwagi i znaczenia, a przecie dla każdego musi być jasne, że to wszystko zależy od kobiety. To jest jej wkład dzienny, nie tylko wysiłku fizycznego, ale i umysłowego i artystycznego. Zmysł czystości i piękna wprowadzony do życia codziennego i zespolenie ich z tym życiem, to jest dziedzina, w której dorównać kobiecie nie sposób, jeśli ona ambitnie zadanie swoje pojmie.

A wreszcie: wychowanie. Tutaj przed kobietą szerokie otwiera się pole różnorodnej o szerokim zakresie pracy. Już przed

porodzeniem, a bardziej jeszcze po nim powinna zdobywać odpowiednie przygotowanie. Pielęgniarstwo, psychologia wieku dziecięcego, a później szeroki wachlarz wiadomości z różnych dziedzin życia i nauki — to jest jej konieczne wyposażenie. A ciągle go jeszcze mało i ciągle mało ambicji, by postawić na wysokim poziomie umysłowym, kulturalnym i duchowym powołanie kobiety — matki.

Gdy się tak pobieżnie – z konieczności – zastanowić, ile ma do zrobienia kobieta w rodzinie, trudno przyznać rację tym, którzy z pewną wzgardą mówią o pracy jej w tym środowisku. Niedoceniona to praca, a przecież i kobiecie najbliższa i społeczeństwu najbardziej potrzebna. Jeśli się fundamentów dobrych nie położy, nie można sobie wiele obiecywać po całym gmachu. A przecie nasz wspólny, narodowy, polski dom chcemy rozbudować z rozmachem, wspaniale, a przytem praktycznie i z największą dla siebie i na przyszłość korzyścią. Dlatego o ten jego fundament wiele się troskać trzeba, a innego fundamentu jak rodzina nikt położyć nie zdoła.

Spojrzyjmy na to od innej jeszcze strony. Od strony dziecka. Nie państwo je rodzi dla rodziny, ale rodzina — dla państwa. I tego ziemskiego, doczesnego i dla wiecznego, Bożego. Stąd jej prawa i obowiązki do wychowania, nieodwołalne, zawsze pozostające w mocy. Otóż doświadczenia nauki i opieki społecznej wyraźnie o tym mówią, że dla rozwoju dzieci, wszelkiego rozwoju, więc tak fizycznego, jak umysłowego i duchowego, nie można stworzyć lepszych warunków, lepszej atmosfery nad te, które dziecku zdolna jest zapewnić rodzina. Przykłady: dzieci pozostające na wychowaniu zakładowym, w wieku do lat trzech, rozumieją zaledwie trzecią część słów, rozumianych przez dzieci wychowane w rodzinie. Podobnie o stanie umysłowym świadczą dźwięki, wydawane przez dzieci w tym okresie specjalnie badane; zakładowe 200 do 400, w rodzinie 2 do 4 tysięcy. „Można twierdzić, że życie internatowe działa raczej szkodliwie niż dodatnio na rozwój umysłowy dziecka. Brak czy tylko niedostateczność podniet i powierzchowność uczuciowa życia internatowego powodują ubożenie osobowości. Trzeba uznać, że w sprawach wychowania żaden internat nie może rywalizować z rodziną. Rodzina kształtuje charakter i osobowość dziecka, internat może tylko uzupełniać lub doskonalić strukturę początkową „(Dr W. Szuman, „Opiekun Społ." XII, 1946)".

Dlatego najnowszym hasłem pedagogiki i opieki społecznej jest: uprzystępnić dziecku wychowanie rodzinne. A tak to jest oczywiste, że dziecko bez rodziny traci ogromnie na należytym i wszechstronnym rozwoju, że hasło to stosuje się i do sierot i dzieci opuszczonych. Przez rodziny zastępcze usiłuje się niebezpieczeństwo to pomniejszyć. „Opieka nad dzieckiem według nowoczesnych metod może i musi się od-

bywać na płaszczyźnie zachowania dziecku rodziny, a jeśli to jest niemożliwe — rodzina przybrana wejść musi w miejsce utraconej" („Opiekun Społeczny", luty, 1947).

Dlaczego o tym mówiliśmy? Bo okazuje się, że dzieło wychowania nie może być odpowiednio przeprowadzone bez zasadniczego udziału rodziny, że ono w niej tylko i przez nią największe ma możliwości, a lepszego środowiska sztucznie stworzyć się nie da. Jeśli zaś rodzina ma dobrze obowiązek ten pełnić, musi być społecznością zdrową, trwałą, zespoloną. Musi dziecku zapewniać rozumną rodzicielską opiekę w utrzymaniu życia i w rozwoju duchowym. Nie będzie zaś taką społecznością, gdy ojciec pracuje, a na utrzymanie rodziny nie wyrabia, i dlatego matka musi pracować poza domem, by dopiero wspólnym wysiłkiem utrzymanie rodzinie zapewnić. A wtedy trudno mówić o wychowaniu w rodzinie, na to już ani czasu ani sił nie staje. Więc o ten zdrowy ustrój życia rodzinnego nieustannie walczy i do niego nieustannie nawołuje katolicyzm społeczny: stworzyć rodzinie warunki dobrego wywiązywania się z obowiązków wychowawczych. Służy temu powrót kobiety do ogniska rodzinnego, służy też żądanie płacy rodzinnej dla ojców.

Jan St. Kielczyk

Własnej matce

Nasza matka urodziła się pod wiejską, starodawną strzechą. Starodawnym było tam wszystko: wystające węgła ścian, słomiane okapy zasłaniające nieduże okna, wysoki próg, niskie drzwi, glina zamiast podłogi w izbie, ognisko kuchenne pod otwartym kominem, kloc do rąbania drzewa.

Nie znała radosnych, swobodnych dni dziecięcych. Na wsi trzeba pracować. Pracują wszyscy, mierząc ilość pracy nie wielkością sił, ale wielkością i natarczywością pracy. Dziecko, podrósłszy odrobinę, zostaje od razu wciągnięte w wir codziennych trudów. Tak było w rodzinnym domu naszej matki. Nie tylko tak, ale ponad ogólnie przyjętą miarę, bo w tej konieczności pracy zapomniano o konieczności nauki. Dla naszej matki — a to nie przynosi jej ujmy — drzwi szkoły nie otworzyły się nigdy.

W bardzo wczesnym wieku wzięła na siebie obowiązki gospodyni, żony i matki. Stanęła do pracy w ognisku domowym, zahartowana już w trudach, wypróbowana przez twardy los, nie znająca wygody, próżności, samolubstwa. Usposobienia żywego, ruchliwego, przedsiębiorczego, uparta wprost, gdy szło o przeprowadzenie szlachetnych planów, była życiem,

inicjatorką, sprężyną i wykonawczynią wszystkiego, co się działo w ognisku rodzinnym. Jako gospodyni, skrzętna, zapobiegliwa, oszczędna, postępowa w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jako sąsiadka, towarzyska, życzliwa, usłużna. Współczująca i miłosierna, śpieszyła, gdzie była potrzeba i gdzie mogła, z radą, pocieszeniem, wsparciem. W naszym domu nigdy niczego nie było za wiele. Dla biednych jednak zawsze znalazła się jałmużna, do której dołączała prośbę o modlitwy w swoich rozlicznych intencjach.

Ale przede wszystkim wielka, niezrównana jako matka!

Dziś, z wysokości wielu minionych lat, z zadziwieniem spoglądamy na jej wspaniałą postać. I nie wiemy, co bardziej podziwiać: umysł szeroko, głęboko, mądrze patrzący w świat i życie, czy serce pełne przywiązania, miłości, poświęcenia dla rodziny.

Jej wzrok obejmował nie tylko dzień dzisiejszy czy jutrzejszy, lecz wybiegał daleko naprzód, myśląc o przyszłości nie swojej lecz dzieci. Niespełna dwa hektary nienajlepszej roli jaką mogły zapewniać przyszłość dużej gromadzie dzieci? Jeżeli zostaną w domu, ubóstwo dzielić się będzie dalej aż do nędzy. „Idźcie z domu, po kolei, wszyscy!” — to było hasłem naszej matki. I szliśmy: troje, czworo, pięcioro do szkoły powszechnej. A potem dalej: jedni do szkoły powszechnej, inni do gimnazjum, jeszcze inni do warsztatów. By mieć chleb w ręce, by nędzy nie klepać, by zostać człowiekiem. A ona myślała o wszystkim: o ubraniu, obuwiu, książkach, zeszytach, o każdym drobiazgu. Ile razy nie było już wyjścia z ciężkiego położenia; to znaczy, nie byłoby wyjścia dla przeciętnej matki, ale nie dla tak dzielnej, jak nasza. Jej myśl niestrudzona zawsze znajdowała sposób, jak podołać potrzebom. Znajdowała sposób, czyli pracowała ciężko od świtu do nocy, praca była jej żywiołem, radością, nagrodą. Znajdowała sposób, czyli każdej chwili była gotowa iść wszędzie i do wszystkich, jeżeli tego wymagało dobro rodziny. Znajdowała sposób, czyli: najpierw myślała o rodzinie, potem, na samym końcu, o sobie. Ile lat przechodziła boso do kościoła! Ile razy została bez koszuli, bo ostatnią oddała dla dzieci! Nie wiem, czy w niemowlęctwie miała poduszkę pod głowę, ale wiem, że, jako matka, złożyła głowę na poduszce dopiero w ostatniej ciężkiej chorobie. „Ja to głupstwo, na co mi tego? obejdę się” — to były jej słowa, gdyśmy zwracali uwagę, że nie posiada najkonieczniejszych rzeczy.

Godność i obowiązki chrześcijańskiej matki zrozumiała najtrafniej, najgłębiej, najprawdziwiej i wypełniła najsumienniej. Żyła i pracowała dla dzieci, nie myśląc o sobie, nie troszcząc się o swoją przyszłość, kto na starość będzie się nią opiekował. Przyszłość dzieci była jej przyszłością! „Idźcie z domu“. Tak nakazywała prawdziwa mądrość i miłość matczyna, choć

serce krajało się przy rozłące. W chwili, gdy dopełniła pracowitego życia, rozkaz wypełniony był w zupełności. A wypełniony był, według naszego najszczerszego przekonania, bez krzywdy dla naszej matki: nie brakło jej bowiem naszej opieki.

Miłość matczyna nakazywała jej nie widzieć nic poza dziećmi. Matka jedenaściorga dzieci musiała mieć serce na wskróś matczyne. Ta miłość biła z jej oczu żywym blaskiem, zapalała na czole pogodną radość, roztaczała w domu serdeczną zażyłość. Ta miłość zmuszała ją do zwyciężania przeszkód piętrzących się ze wszystkich stron, napełniła jej życie nieprzerwanym ciągiem poczynań, które w przeciętnych oczach mogły wyglądać na szaleństwo. Była to miłość pełna troski o los dzieci, miłość niekiedy twarda, a zawsze sprawiedliwa, zawsze serdeczna. Rosła z biegiem lat, nabierała coraz większej miękkości i rzewności. Spełniło się jej życzenie: „Idźcie z domu", ale nie dała nam opuścić swojego serca. Jej uczucia były zawsze z nami, jej myśl biegła ku nam. Jak radowała się, gdyśmy ją odwiedzili! Jak wypytywała się o każdy drobiazg! Jak przejmowała się każdą naszą troską! Jak cieszyła się każdą pomyślną wiadomością! Jak dziękowała za każdą chwilę, którą mogliśmy jej poświęcić! Jak pragnęła nas czymś obdarować, chociaż wiedziała, że nie potrzebujemy!

Prócz trudów, nie brakło jej prawdziwego, bolesnego cierpienia. Ciężka choroba sercowa gnębiła ją przez wiele lat. Wielka wrażliwość nerwowa zaostrzała uderzenia codziennych przeciwności. Śmierć dorastającego syna, ucznia gimnazjum, rozbicie rodziny w czasie wojny, przeżycia wojenne rozdzierały jej serce szczególnie boleśnie.

Wówczas, i zawsze, pociechy i siły szukała u Boga. Duszę jej wypełniała głęboka wiara, umiłowanie mszy św. i nabożeństw kościelnych, szczególnie ku czci Najświętszego Sakramentu i Bożej Matki, duch modlitwy żarliwej, ufnej, nieopuszczanej nigdy, nawet po dniu najcięższej pracy. Nieodzowną częścią jej wieczornych pacierzy był dziesiątek różańca, litania do Matki Najśw. i zdrowaśki na intencję dzieci znajdujących się w szczególnej potrzebie.

Uroczystość Matki Boskiej Zielnej, ta, obok pasterki, rezurekcji i Bożego Ciała, najbardziej ulubioną jej uroczystość, była ostatnim dniem, w którym, z wielkim wysiłkiem, mogła udać się do kościoła na mszę św. Potem choroba sercowa, niekiedy bardzo bolesna, przykuła ją do pościeli. Gdy, czasem, mogła się podnieść, największą jej radością było, jak dawniej, usłużyć swojej ukochanej rodzinie.

Choroba, mimo usilnego ratowania, przedłużała się, stawała się uporczywą. Nie traciliśmy nadziei, ale ona lepiej od nas zdawała sobie sprawę. „Pocywam — mawiała — pocywam i umrę. Nie boję się śmierci. Mam sumienie spokojne. Nie mam nic na sumieniu". O swojej śmierci mówiła często

i długo. Aż do najdrobniejszych szczegółów wyjaśniała, jak mamy ją ubrać na wieczny spoczynek, jaką sprawić trumnę, jaki urządzić pogrzeb...

Po ostatnim ataku, który nie był cięższy od poprzednich, którego nie uważaliśmy za decydujący, z całą przytomnością i stanowczością poprosiła o księdza, choć niedawno była zaopatrzona świętymi sakramentami. „Żeby tylko umrzeć ze świętymi sakramentami" – mawiała za dobrego jeszcze zdrowia. W tej intencji odprawiała kilkakrotnie pierwsze piątki miesiąca, o tę łaskę modliła się żarliwie. I udzielił jej Bóg, jako nagrody za życie twarde, ofiarne, jako pocieszenia za boleść rozstania. Zgasła w przeddzień siódmej rocznicy śmierci syna, o którym często wspominała ze wzruszeniem, którego może najbardziej z nas wszystkich kochała, jeżeli jej miłość znała jakie różnice. Zgasła z imionami najmłodszych dzieci na ustach ..

Żyła niedługo: pięćdziesiąt pięć lat. Ale właściwie spełniła swoje zadanie całkowicie. Zrobiła dużo, bardzo dużo! Wypełniła dni swoje pracą, miłością, poświęceniem. Dokonała żywota wielkiego, pełnego zasług wobec Boga i ludzi. W porównaniu z jej dziełem jakże małym, jak mizernym jest wszystko, czego my, jej dzieci, staramy się dokonać, chociaż powinniśmy uczynić więcej niż ona.

To było życie na miarę hohatera!

..Szybko upływają miesiące od chwili rozstania się z naszą matką. A jej postać stoi przed nami ciągle żywa. Jej wielkie cnoty jaśnieją coraz piękniej. Jej zasługi cenimy coraz lepiej. Nasz podziw dla niej staje się coraz większy, nasza wdzięczność coraz serdeczniejsza, nasza cześć coraz większa. Iść będzie przed nami jako wzór porywający, choć niedościgniony, jako zachęta i moc, jako tęsknota – już nieosiągalna w tym życiu.

..Wszystko, co powiedziałem, co chciałbym, a nie jestem zdolny, powiedzieć, co czuję, a nie mogę wyrazić, wszystko, co najpiękniejsze na ziemi, najchwalebniejsze, najbardziej godne wdzięczności, miłości i wiekuistej pamięci, zmieszczę w tych krótkich słowach: to była PRAWDZIWA MATKA!

Cz.

Mój wieczór

Tak, chociaż ta chwila należy do mnie, w gonitwie dnia, w zamieszaniu i wielorakości spraw. Porzucam wszystko. Odchodzę od ludzi, od hałasu. Chowam się w swym pokoju, albo przynajmniej usuwam się do kącika, którym rozporządzam.

W niejednym wypadku mam może do dyspozycji swoje łóżko. Tymbardziej zamykam się w sobie, w duszy swojej, im większe niepokoje zewnętrzne. Znajduję się w samotnej komórce własnej duszy

I rozmawiam duszą. Mówi w niej głos, zwany sumieniem. Nie słyszę go, ale odczuwam wyraźnie. Jest silniejszy od mej woli, od mej myśli. Jest kierownikiem i sędzią mych czynów. Nie mogę mu się oprzeć, choćbym i nie była z niego zadowolona. Nie sposób wyrwać z duszy jego orientacji, jego rozeznań i nakazów.

Bywa, że zaniepokojone oczy zdradzają wewnętrzną walkę duszy z sumieniem. Chcę okupić niepokój wewnętrzny pozorem obojętności na twarzy. Ale ów głos nadal wskazuje, co dobre i co złe, do dobrego nakłania. Jakbym słyszała swego anioła stróża, wiernego towarzysza życia, którego nie widzę...

Sumienie robi w mej duszy przegląd dnia..

„A że dzień na marne minął, wstyd i hańba, że się żyło" (A. Mickiewicz).

Przed zwierciadłem sumienia stają wypadki dnia w najmniejszych szczegółach. Co mi zależy na ludziach? Należę do siebie i ostatecznie tylko Panu Bogu zdawać będę sprawę z mojego życia. Byle być w zgodzie z sobą. Prostota, szczerość wobec siebie — to rzecz niezwykle ważna! Zachowanie się naturalne, skromne, czyste — jest najsympatyczniejsze.

Pytam sumienie o jutro. Co mam jutro robić.. Jaki mam plan? Bez takiego planu zaniedbam wiele dobrego, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. A przecież w każdą lukę zaniedbanego dobra wkracza skutek zaniedbania: zło! Panoszy się w następstwie naszej niesumienności, opieszałości. A przecież mamy obowiązek wypierać zło, zagradzać mu drogę, zmusić je do odwrotu naszą siłą twórczą.

„Pod Twoją obronę" — to ostatnie westchnienie duszy, która zasypia w rozeznaniu prawdy, z prośbą o łaskę Bożą na dzień następny.

Kazimiera Berkan.

Którędy pójdziesz?

W pewnym wieku życia, lub w pewnym położeniu, stawiamy sobie pytanie: Co począć z sobą? Jaką drogę życia obrać, aby być szczęśliwym, nie popełnić pomyłki i na prawdę wypełnić zadanie swojego życia?

Pytanie to nasuwa się zwykle przed 25 rokiem życia lub później, gdy już ponieśliśmy straty osób w otoczeniu. Im prędzej, tym lepiej, aby uniknąć rozczarowania.

Trzy drogi życia: małżeństwo, stan duchowny, bezżeństwo w świecie z myślą poświęcenia się jakiejś dobrej sprawie. Najogólniejsza droga to ta pierwsza: małżeństwo. Zastanawiam się nad tym, czy mógłbym, czy mogłabym kogoś bardzo pokochać, być mu wiernym aż do śmierci i wziąć na siebie obowiązki założenia ogniska rodzinnego. Szczególnie badajmy stan zdrowia i charakter, ze względu na długie lata przyszłego współżycia i ze względu na przyszłą rodzinę, która jest celem małżeństwa.

Stan duchowny, świecki czy zakonny, jest dla tych, którzy dla miłości Boga ukochali dusze bliźnich i chcą im służyć, wyrzekłszy się własnego szczęścia w ognisku rodzinnym. Oni to szczęście znajdują w służbie Bożej.

Wolny stan dla dobrej sprawy w świecie jest podobny do drugiego powołania. Poświęcamy się świadomie dla rodziny, przyjaciół lub dla jakiegoś dobrego dzieła, któremu oddamy siły i wiedzę. Stajemy się apostołami świeckimi w stowarzyszeniach młodzieży, w szpitalach, pośród dzieci w szkolnictwie, w dziełach miłosierdzia. Jest to, naszym zdaniem, najtrudniejsza droga życia, bo zupełnie samotna. Ale — tak Bóg chce!

W tym decydującym okresie życia należy odbyć gruntowne rekolekcje, zejść w odosobnienie, aby w spokoju zastanowić się nad swym losem, a równocześnie badać uważnie wszystkie powołania: zapoznać się z młodzieżą, zaglądać do klasztorów, zbliżyć się do towarzystw parafialnych, czytać życiorysy wybitnych ludzi, a zwłaszcza „Ćwiczenia duchowne" św. Ignacego Loyoli. A po wyborze, dokonanym w modlitwie, iść odważnie poznaną drogą.

K. Berkan.

W cieniu krzyża

Jest w Indiach ponad sto chrześcijańskich trętowni, czyli szpitali dla trędowatych. Jedną z nich zwiedzał pewien organizator pomocy dla trędowatych.

.. Przed malutką kapliczką stoi krzyż, a na nim widnieje napis: „Szczęśliwego Bożego Narodzenia". Betlejemska nowina pokoju na drzewie krzyża? Nie rozumiał.

— Dlaczego to życzenie, tak radosne, umieściliście na krzyżu, który głosi mękę i śmierć? — zapytał chorych.

Nie odpowiedzieli mu nic.

Usiedli w kółko pod krzyżem i wkrótce pod przewodnictwem starszego zaczęli śpiewać rodzaj antyfony:

— Święćcie Narodzenie Pana
na każdy dzień życia swojego,
bo każdy dzień ma widzieć Pana,
narodzonego wśród serca waszego!

* * *

Do trętowni przyjęto nowego chorego, poganina, o bardzo burzliwej przeszłości. Choroba i zamknięcie w szpitalu pogorszyły jego charakter i tak już nieznośny dla otoczenia. Stał się źródłem rozpaczy dla wszystkich.

Płynęły dni. . Chory wpatrywał się w życie współtowarzyszy niedoli, chrześcijan. Widział ich spokój, cierpliwość. Uciszała się powoli i jego wzburzona dusza. Pozwolił, by mu mówiono o Chrystusie, o religii chrześcijańskiej. Przyjął chrzest św.

I dokonała się w nim zupełna zmiana. Z upartego, złośliwego stał się uległym, cichym. Stał się dla wszystkich wzorem, tak w cierpieniu, jak w pracy.

Ostatnio choroba rzuciła mu się na ramię. Nie może pracować. Skazany jest na nudy bezczynności. Przechadza się wolno, z podniesionym czołem, uśmiechnięty. Gdy spotyka któregoś z chorych, współtowarzysza cierpień, schyla przed nim głowę z czcią wielką i szepcze „Bądź dobrej myśli: Cierpienie jest wielkim darem Boga".

Ams.

Kapłan-męczennik

W maju 1944, w obozie niemieckim w Gross-Rosen, zginął ks. Jan Pykosz, kuzyn ks. Władysława Pykosza, saletyna, pracującego obecnie w Argentynie. Spółtowarzysz niedoli zmarłego, ks Julian Rykała, skreślił dla zbolałej matki umęczonego kapłana krótką historię jego losów, którą zamieszczamy.

Ks. Jana Pykosza znałem jeszcze jako kleryka w Krakowie w 1928. W 1943, gdy on był dyrektorem w Warszawie, ja otrzymałem święcenia kapłańskie. Służył mi licznymi radami.

Uwięzieni zostaliśmy razem 7 lutego 1944 r. Gdy go odłączyli od nas, byłem pewny, że pójdzie na śmierć, gdyż brakowało kilku księży, za których on był odpowiedzialny przed Niemcami. Wozili go po mieście dla odszukania innych pracowników. Ks. Jan przypominał stale Niemcom, by dla chłop-

ców naznaczyli kogoś na nasze miejsce, bo zostali głodni i bez opieki. Pierwszy dzień uwięzienia spędził gdzie indziej. Dopiero nazajutrz przywieźli go do strasznego „Pawiaka", gdzie codziennie rozstrzeliwano więźniów. Ks. Jana przydzielono do celi z obcymi. Widywaliśmy się w przejściu. Po siedmiotygodniowym pobycie w więzieniu przeznaczono nas na transport, gdyż przyszło zapotrzebowanie na siły robocze, które się „marnowały" po więzieniach. Przed odjazdem umieszczono nas w celi, gdzie byli sami księża. W czasie zeznań ks. Jana byłem w tej samej sali, toteż słyszałem prawie wszystko. Odpowiadał godnie, nikogo nie „wsypał", unikając kłamstwa. Niemcy uznali, że jesteśmy niewinni i że zostaniemy wypuszczeni. Kilku nawet wyszło po paru dniach.

Na transport zostaliśmy skrępowani za ręce po pięciu. Znalazłem się w jednej piątce z ks. Janem. W wagonie, gdzie nas zaplombowano, zdarliśmy z rąk sznury.

Nie było wiadomo, dokąd nas skierują, kiedyśmy wysiedli z pociągu na stacji Gross Rosen koło Lignicy na Śląsku. Było to 29 marca 1944 r. Przez cały dzień dokuczał mroźny wiatr ze śniegiem. W obozie, na przywitanie, każdy Niemiec, jak tylko mógł, kopał nas i bił, zwłaszcza, że wśród więźniów widział sutanny księżowskie. Co chwilę wywoływano księży. Interesowano się szczególnie przełożonymi. Mieliśmy ich dwóch: ks. Jana i przełożonego księży Misjonarzy. Oni też najwięcej wycierpieli uderzeń, naigrawań, szyderstw. Pracowaliśmy razem przez dwa tygodnie, od 1 do 15 kwietnia 44 r. Zbieraliśmy ziemię nad pokładami granitu, woziliśmy ją do ogrodu, kopaliśmy w ogrodzie. Każdy z pilnujących Niemców starał się nas nowych zastraszyć, tak biciem, poganianiem, jak i spaleniem w krematorium, którego komin, buchający dymem ze spalonych ciał ludzkich, mieliśmy stale przed oczyma.

Byliśmy bardzo źle ubrani, w cienkie pasiaki z malowanym krzyżem na plecach, z numerami na szyi, piersiach i prawej nogawce. Numer ks. Jana był 26037. Na nogach drewniaki żłobione lub trepki, które grzęzły w błocie, gdy kapo z biczem w ręku pędził nas do pracy biegiem. Często się przemarzło, bo wiosna była bardzo zimna, a przemoczonego ubrania nie było gdzie wysuszyć. Głód zaczął się dawać we znaki, gdyż pożywienie, skąpe na tę ciężką pracę, było jeszcze zmniejszane kradzieżą przez tych, co rozdawali. Od kwietnia 44 r., nas, jako młodszych i silniejszych, przeznaczono do kamieniołomów, gdzie pracowało dwa tysiące ludzi. Ks. Jan pozostał do pracy w ogrodzie, a więc w dalszym ciągu: kopanie, wożenie nawozu, usuwanie kamieni. Nie była to łatwa praca, ale przy dobrym odżywieniu można było przetrwać. Na rano pół litra wody zatartej mąką lub rozgniecionymi ziarnami żyta, później kawałek chleba z margaryną, na obiad litr zupy brukwiowej, na wieczór 20 deko chleba i pół litra

zupy-wody — na pierwszy raz to wystarczy, ale na dłuższy dystans nie wytrzyma. Toteż zazwyczaj po miesiącu pobytu w obozie dostaje się puchliny, człowiek staje się obrzękły, nie może poruszać nogami.

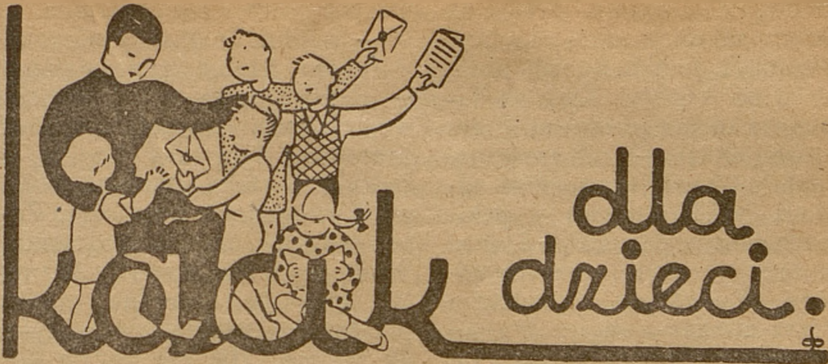
Ks Jan nie wytrzymał. Toteż starsi, silniejsi więźniowie skierowali go do szpitala obozowego — na rewir. Nadmieniam jeszcze, że do spania i jedzenia były specjalne baraki. Ks. Jan znajdował się na 24, koło kuchni. Tam napotykał bardzo wiele nieprzyjemności, jak czyszczenie ustępów, zamiatanie, ćwiczenia karne za łóżka itp. Nie mogliśmy wziąć na siebie choć części tych przykrych spraw, bo nas przydzielono na inne baraki.

Gdy ks. Jan dostał się na rewir, była nadzieja, że wyzdrowieje, bo stamtąd wielu wracało znowu do pracy. Niestety pewnego dnia chorzy mieli kąpiel. Czy kto mógł iść czy nie, musiał stawać na podwórzu, rozebrany do naga, i czekać na swoją kolejkę do łaźni. Z łaźni, spod gorącej wody, nieobeschłych, pędzono z powrotem Na nieszczęście padał deszcz ze śniegiem. Ks. Jan, mając silną gorączkę, zaziębił się, dostał nagłego zapalenia płuc i, mimo starań polskich dobrych pielęgniarzy i opieki lekarskiej, o jaką można się było wystarać, nadzieja ocalenia była nikła

Odwiedzić chorego na rewirze było prawie niemożliwością. Niekiedy, wieczorem, udawało się nam podejść pod okna przy łóżku ks. Jana. Zamieniło się wtedy parę słów i pocieszyło wzajemnie. Ostatni raz poszedłem w niedzielę, 7 maja. Wołaliśmy, i jakiś dobry sąsiad dał znać ks. Janowi Ale on tylko ze swego tapczana uniósł głowę, skinął nam kilka razy, i — odeszliśmy. Prosił bardzo obsługę, żeby dopuszczono do niego jego zastępcę z Warszawy, ks Cybulskiego Dwaj pielęgniarze warszawscy załatwili sprawę pomyślnie. Wówczas pożegnał się ostatni raz. Dawał zlecenia, martwił się, jak zawiadomić matkę. Przeczuwał, że koniec się zbliża.. Na drugi dzień dano nam znać, że zmarł, może pół godziny przed naszym powrotem z pracy Było to w poniedziałek, 8 maja 44 r., w dzień św. Stanisława.

Przebywając w szpitalu, bóle znosił bardzo cierpliwie, toteż zjednał sobie i pielęgniarzy i chorych sąsiadów. Prawie bez przerwy powtarzał cicho: „Mój Jezu", albo: „Dla Pana Jezusa". Spowiadał chorych i dawał rozgrzeszenie umierającym. Nawet ludzie przewrotni, których nigdzie nie brak, byli ujęci jego wzorowym, chrześcijańskim znoszeniem cierpień.

Nie ma grobu, nie było pogrzebu. Ciało ks. Jana wyniesiono do krematorium i tam spalono 9 maja. Rozrzucone popioły wsiąkły w ziemię ogrodów grossrozeńskich i stamtąd wstaną na ostateczne zmartwychwstanie.



SOOSAI I JEJ RÓŻANIEC

Przenieśmy się myślą do południowych Indyj. Tam wieczna wiosna. Życie tu łatwe: wystarczy jaki taki dach nad głową, plecionka do spania, jakieś białe prześcieradło za ubranie, kilka bananów czy orzechów kokosowych do jedzenia.

Jesteśmy w ślicznym mieście, Coimbra. Jest tu dom zakonny i szkoła dla dziewcząt. Gwarno i rojno. Wszyscy biegają, a widać, że czymś bardzo zajęci... Szepty... Dzieci wiją girlandy z kwiatów. Bo to jutro imieniny matki przełożonej. Będzie koncert, przedstawienie i powinszowania bez końca.

* * *

Wszystko wypadło jak najlepiej. Muzyka i śpiewy były świetne, narodowe tańce dzieci zupełnie zgrabne, przedstawienie doskonałe Wśród winszujących dzieci jedno i drugie zacięło się — trochę z przelęknienia, gdy matka przełożona podniosła głowę i spojrzała w oczka. Wszystko poszło wyśmienicie. Matka przełożona zadowolona dziękuje, przemawia serdecznie. A potem — zaprasza do stołu.

A na tym stole ile cudów — ile pięknych obrazków – jakie śliczności między zabawkami! A te, tak dobrze znane, cukierki! Ile ich dzisiaj! Jest na co patrzeć, oczy się iskrzą, uciekają na stół... Ach, a tam ile różańców! Jak one się lśnią, jakby ze złota! A tu perły i drogie kamienie błyszczą się w słońcu. Oślepnąć można.

— Ale matka bogata! Tyle i tak cudownych różańców! — krzyknęła mała Soosai.

— Możesz sobie wziąć najpiękniejszy — rzecze matka.

Mała Soosai długo przebiera. „Ach, ten błyszczy, jak płynne złoto Już, matko, mam i ślicznie dziękuję".

Jak dobrze mówiło się paciorki na tym różańcu! W całym domu słychać szelest paciorków.

Dziewczynki dumne były z różańców. I słusznie. Przecież i siostry zakonne mają różańce.

Po kilku dniach Soosai przychodzi do kaplicy. Ona najdumniejsza ze swego skarbu. Przychodzi jakaś — zafrasowana Dzieci odmawiają wspólnie różaniec, każde trzyma w paluszkach śliczne paciorki, a Soosai ma ręce — puste, nie ma różańca. Zauważyła to siostra i zaraz zwraca uwagę: Wyjmij różaniec, odmawiaj razem z innymi. Soosai — nic. Siostra znów daje znak, by wyjęła różaniec. Soosai — nic, trwa nieruchomo ze złożonymi rękoma, jak posąg.

Modlitwa skończona. Przy drzwiach kaplicy siostra czeka na Soosai.

— Soosai, gdzieś podziała swój ukochany różaniec? Zgubiłaś?

— Nie, siostro.

— Więc co się z nim stało?

— Czy siostra pamięta, co teraz śpiewamy na lekcji śpiewu?

— Co takiego?

— „Gdy ziemia użyźniona i dobrze obrobiona, to siejcie w nią, dziatki, wszelakie kwiatki różańcowe!"

— Więc co? — pyta dalej siostra mocno zaciekawiona.

— Biedna matka przełożona — mówi Soosai z przejęciem — rozdała nam tyle różańcowych wianuszków, aż jej nawet zabrakło. Była taka bogata, a teraz jest taka biedna! Więc pomyślałam sobie wczoraj: Zasadzę swoje różyczki w ogródku. Wnet wyrosną nowe i liczne. Na przyszłe imieniny matka przełożona będzie miała tyle, ile zechce. Nic nie będzie kupować. — Tu Soosai odetchnęła z ulgą, jakby kamień, spadł jej z serca. Mówiła dalej: Siostro, pójdźmy do ogródka Obrobiłam ziemię, użyźniłam ją i zasadziłam różaniec. O, ten kijek znaczy miejsce, gdzie zasiałam swój różaniec .. Siostro, ja uczyniłam największą ofiarę. Widzisz, jak troskliwie pielęgnuję ogródek z zasianym różańcem. Na przyszły rok będę miała dużo, bardzo dużo różańcowych kwiatków — wszystkie będą złote.

* * *

Musiałam jej wytłumaczyć, że kwiatki różańcowe stają się cudownie pięknymi różyczkami, drogimi jak róże ze złota — w ogródku Pana Jezusa i Matki Bożej — w niebie.

POCAŁUNEK DLA JEZUSA

Na pewnej placówce misyjnej wśród Zulusów, w południowej Afryce, piekła zakonnica opłatki na hostie i komunikanty. Wtem słyszy stąpanie bosych nóg. Ogląda się. Wszedł mały chłopczyk. Ma dziewięć latek Cichutko staje obok zakonnicy. Z wielkim zaciekawieniem przygląda się robocie i — milczy. Trwa to dłuższą chwilę. Siostra też milczy.

Wtem chłopczyk z całą pobożnością schyla główkę i całuje największy opłatek. Zakonnica nie broni mu, ani go nie gani, uśmiecha się dobrotliwie. Trzeba jednak dziecko pouczyć. Więc mówi:

— Wiesz, właściwie nic dobrego nie zrobiłeś. Przecież Pan Jezus nie mieszka jeszcze w tej hostii. Będzie w niej dopiero wtenczas, gdy podczas mszy św. kapłan weźmie hostię do ręki i powie słowa konsekracji. Teraz jednak nie ma tu jeszcze Pana Jezusa.

Chłopczyk słucha uważnie, potem rzecze:

— Siostro, ja to wiem. Lecz proszę słuchać. Kiedy kapłan będzie konsekrował ten chleb, to Pan Jezus tu przyjdzie. A wtedy na pewno znajdzie mój pocałunek.

Dla małych czytelników „Posłańca" obydwa zdarzenia opowiedziała

siostra misjonarka

KOTKA MISIA

Mlaskając piła chciwie czerwonym, szorstkim ozorkiem, aż jej słodki, płyn spływał po brodzie Na dowód, że czuje się dobrze, usiadła na tylnych łapkach, zakręcając wokoło nich swój ogonek. Nawet nie spojrzała na moją pokaleczoną rękę, którą jej podsunęłam pod nosek. Potem w mig przewęszyła wszystkie kąty pokoju, przeglądnęła biurko, ołówki i piórka ostukała łapką, stwierdziła, że do wysuniętej szuflady biurka można się wygodnie schować i nawet jakiś czas przesiedzieć między papierami; zmierzyła długość stołu i łóżka i wylądowała na fotelu pod piecem Tu po namyśle skuliła się w sobie, okręciła się kilkakrotnie, goniąc za swoim ogonkiem, aż wreszcie znalazła odpowiednią pozycję i usadowiła się na dobre. Przednie łapki skrzyżowała na piersiach jak babcia i, skręcając się zupełnie, położyła łebek na tylnych nóżkach. Mrucząc głośno, coraz bardziej przymrużała ślepka, aż stały się całkiem mętne i zamknęły się zupełnie, tworząc dwie, wąskie, ukośne szparki. Wyglądała bardzo potulnie, niewinnie, toteż byłam pewna, że zachowa się grzecznie przez całą noc. Ale gdzie tam! Jeszcze północ nie wybiła. gdy cienki pisk u mojej poduszki zbudził mię ze snu. Równocześnie ostre pazurki wkręciły się w moje włosy. Z trudem oderwałam przednie łapki, by zabrać się do tylnych, a już przednie znalazły się w mojej głowie. Trochę z humorem, trochę z energią poradziłam sobie z mącicielem nocnej ciszy. Sądziłam, że głodna, zagrzałam jej więc miseczkę mleka. Rzuciła się na mleko, jakby ginęła z pragnienia.

Misia wczesnym rankiem otworzyła ślepka i leniwie spojrzała na świat. Następnie rozwarła pyszczek na całą szerokość i ziewnęła głęboko. Nie ruszała się z miejsca, ciepłym tułowiem wciąż oparta o moją głowę. Leżąc wygodnie zaczęła ranne mycie. Robiła to długo i starannie, jak na porządną kotkę przystało. Zaczęła od przednich łapek, naślinia je, zmyła szorstkim językiem niby szczotką. Tak samo uczyniła z tylnymi łapkami. Potem przyszła kolej na piersi, grzbiet, tułów i ogonek. Ogonkowi poświęciła dłuższą chwilę. Był on bury, w czarne pręgi i kończył się szerszym, czarnym paskiem, niby borta u tapety. Tu wszędzie sięgnęła ozorkiem, a robota była nie bylejaka. Choć kotka świeciła przykładną czystością i jej łapki jaśniały nieposzlakowaną bielą, Misia elegantowała się z wrodzonej schludności. Do łebka nie sięgnęła ozorkiem. Naśliniła więc

tylko wpierw prawą łapkę i nią poczęła jakby zmiatać za uszami, na czole i na całej prawej części swej sprytnej kociej główki rzekome brudy. Przymknęła prawe oko, ozorkiem zebrała z łapki ten niby nagromadzony brud i przejechała łapką po powiece. To samo uczyniła i z lewą częścią główki.

Kiedy skończyła ranne porządki, oblizněła się jak po smacznym jedzeniu i wstała na łapki. Zaczęła się teraz praca z wyciąganiem członków. Misia przefiglowała wprawdzie sporą część nocy, ale dla zachowania giętkości ciała potrzebna była gimnastyka. Bura kotka zrobiła najpierw garb i śmiesznie zadarła ogon do góry. W ten sposób doskonale wyciągnęła swój mały grzbiet. Potem rzuciła łebek i przednie łapki naprzód, wyprężając z rozkoszą cały tułów. Przytem rozstawiła pazurki przednich łapek, jak człowiek znużone palce u rąk.

Gimnastyka skończona. Misia zadowolona z siebie machnęła ogonem i jednym susem zeskoczyła z łóżka. Zdawało mi się, że zabrała się teraz do nieznanej mi zabawy. Stojąc na tylnych łapkach zachaczyła przednie o materac, próbując go rozedrzeć. Wprawdzie moje materace są tylko papierowe, a zamiast poduszki z puchu leży pod głową klin z morskiej trawy, ale i tak za cenne to rzeczy dla mnie, by je ofiarować Misi na zabawkę. Z trwogą odpędzałam psotnicę od łóżka, ale Misia wracała do swej rzekomej zabawy. Po chwili wpadłam na myśl, że Misia nie bawi się, ale ostrzy pazurki o miękki przedmiot. Muszę ją pochwalić, że nie zostawiła żadnych śladów, ani teraz ani później, swoich wyczynów.

Teraz nastąpiła ważna dla Misi chwila. Usiadła przy drzwiach pokoju, piszcząc wcale nie kocim głosikiem. Stanęłam obok niej. „Kto zwycięży — pytałam sama siebie — ona czy one?" — miałam na myśli moje trzy krakowskie kurki, którym chciałam przedstawić nową towarzyszkę, Misię. Otworzyłam drzwi pokoju. Bury kłębuszek prześlizgnął się w jednej chwili i strzelił do otwartych drzwi na lewo. Kurzy i koci świat stanęły naprzeciw siebie. Od rozsypanego pod stołem kuchennym ziarna podniosły równocześnie główki mama, Mucha i jej dwie córeczki: Mińcia i Magdosia. „To wasza mała przyjaciółka, kotka Misia" — chciałam przedstawić kotkę swojej gromadce. Niestety, Misia z najeżoną sierścią i napuszonym ogonkiem umknęła co tchu pod krzesło. Zato kurki, które nikogo obcego nie uznawały w naszym gronie, zaczęły gdakać jedna przez drugą. — Kok, kok? — powiedziała matka, rozłożysta jarzębianka, stara, poczciwa kura. Miało to oznaczać: A to co za nowość? — Ko, ko, ko — zaszczebiotała piskliwym głosikiem subtelna mała Magdosia z rodu leghorrów, Na ludzki język znaczyło to: Alem się wystraszyła. I, wbrew swoim słowom, podbiegła ku gościowi, by go dziobem przywitać. Tylko Mińcia, najdziksza i najpłochliwsza, choć większa i grubsza od swej białej siostrzyczki, na widok nieznanego przybysza skoczyła na ławę, a z ławy na stół. Miała akurat tyle odwagi, co Misia. Jedna siedziała wystraszona pod krzesłem, druga szukała ratunku przed nowością na stole. Na środku kuchni zostały odważne, gotowe do bójki z kotkiem: dzielna matka Mucha i jeszcze odważniejsza jej córka Magda, ulubienica swej pani.

Niewielka, niebieska miseczka niepodzielnie należała dotychczas do moich trzech kur. Właśnie z niej piła kurka Magdosia, gdy niespodzianie zjawiła się Misia. Kotka na widok nowych towarzyszek przestraszona schowała się w kąt. Więcej bała się kurek, niż one jej. Słodkie mleczko nęciło jednak Misię, przecież było rano i pora na jedzenie. Toteż po namyśle wyszła spod krzesła i ostrożnie a czujnie zaczęła pełzać ku miseczce. Byłam pewna, że dla zdobycia pokarmu użyje swoich pazurków. Ale ledwo zbliżyła się ku niewiele większej od siebie kurce, ta przytomnie odwróciła ku Misi zaciekawiony łebek i niespodziewanie szybko dziobnęła ją w ślepko. Misia pisnęła z bólu i zmrużyła biedne oczko. Równocześnie zaczęła się cofać, szukając ratunku przed napaścią. Podniosłam maleństwo z ziemi i z współczuciem głaskałam ją po łebku. Tak, o jedzenie trzeba w życiu walczyć i przyjaciół nieraz długo szukać. Misia piszczała, żaląc się na swoje małe nieszczęście.

C. d. n.

Indie a katolicyzm

Zawiłe, polityczne zagadnienia w Indiach są wiernym odbiciem ich stanu religijnego. Zważmy, że to ciągłe kotłowanie obejmuje kraj liczący 400 milionów mieszkańców, czyli piątą część ludności całego świata. Na stu mieszkańców przypada jeden katolik i dwudziestu muzułmanów, reszta to Hindusi. Zaliczamy do nich każdego, kto wyznaje jedną z licznych religij hinduskich. Każda z nich posiada mnóstwo różnych bóstw obdarzonych ludzkimi słabościami i namiętnościami. One to rządzą światem według swych kaprysów. Wierzący musi je czcić, jeżeli nie chce wrócić po śmierci na świat w postaci robaka, węża, małpy.

Bardziej kulturalni Hindusi wyznają panteizm, czyli wierzą, że Bóg jest wszystkim i wszystko jest Bogiem. Inni, nasiągnięci filozofią szkół angielskich, wyznają — bezbożnictwo. Mimo to trzymają się religijnej tradycji kraju i bez trudności spełniają hinduskie praktyki religijne. Podkreslić należy, że Hindusi wierzący i bezwyznaniowi żyją ze sobą w zgodzie

Społeczeństwo hinduskie podzielone jest na kasty zamknięte w sobie, odgrodzone od siebie nieprzeniknionym murem. Hindus musi się poddać prawu kastowemu; inaczej, zginie. Nawet misjonarz musi się liczyć z tym prawem. Hindus nawrócony na chrześcijaństwo jest przekonany, że jednak Pan Bóg ustanowił kastę - bezkastowców. Nie może pogodzić się z myślą, że parias, czyli członek najniższej, przez wszystkich pogardzanej, kasty jest jego bratem. Rozumuje więc tak: „Parias jako chrześcijanin jest moim bratem, lecz tak różnym ode mnie, że nie mogę wdawać się z nim w towarzystwo". Łatwo stąd wywnioskować, jaki wpływ wywiera kastowość na życie religijne, społeczne i polityczne w Indiach.

Kastę stanowi grupa rodzin mieszkająca na jednym terenie (gromada), lub trudniąca się jednym zawodem. Przynależność kastową zyskuje się przez urodzenie. Zmiana kasty w poźniejszym życiu jest niemożliwa. Każda kasta ma swoje bogi, swoje ceremonie i święta, swoje prawa małżeńskie. Sama ustanawia i wykonuje prawa. Istnieje np. kasta złodziei. Im wolno kraść. Ukradnie ktoś z innej kasty — poniesie ciężką karę. Jeżeli go chwycą na kradzieży, zostanie wyrzucony z kasty. Praktycznie znaczy to, że jest wykluczony z życia; nie znajdzie nigdzie pracy, nie kupi żywności, jego dzieci nie będą mogły wstępować w związki małżeńskie. Wywędruje ze swoich stron rodzinnych, to i tak trudno mu będzie ujść karzącego ramienia kasty. To samo czeka Hindusa w razie przyjęcia chrztu św. Okupić się nie może. Najczęściej opuszcza gromadę i szuka chrześcijan ze swojej kasty. Czasem zamieszkują całą ulicę, która stopniowo się rozrasta; czasem tworzą osobną wioskę. Nawet w kościele kasty mają osobne miejsca, choć powoli

różnice się już zacierają. Nawrócić się na wiarę chrześcijańską znaczy — w oczach Hindusa — tyle, co „najniżej upaść”, najciężej zgrzeszyć. Jednak, gdy całe wioski przechodzą na katolicyzm, srogość prawa staje się mniejsza, trudności maleją. Dlatego misjonarz woli nawrócenia masowe.

Drugim czynnikiem państwowo religijnym w Indiach są muzułmanie. Liczy się ich 70 milionów. Zamieszkują obszary wschodnie i zachodnie krańce doliny Gangesu. Muzułmanie żenią się między sobą, gardząc Hindusami, i uprawiają wielożeństwo. Mają swoich świętych, modlą się do nich i wierzą w skuteczność ich opieki. Mają swoich przywódców narodowych i religijnych, którzy pobierają przeważnie wychowanie angielskie, oczytani są w angielskiej literaturze religijnej, a stąd obojętni religijnie. Mimo to mają wielki wpływ na naród. Oni nadają ton polityce, skłaniając się w stronę Anglii.

W Burmie i na Cejlonie religią panującą jest buddyzm z niezliczoną ilością mnichów. Buddyści wierzą w duchy i wędrówkę dusz. Według nich życie to nieskończona seria wcieleń dusz, które opuszczają jedno ciało, by wejść w drugie. Celem życia wyznawcy buddyzmu jest nirwana, czyli rozpłynięcie się w nicości.

Wobec tak wielkiej różnorodności religijnej chrześcijaństwo ma dość trudne zadanie do spełnienia, tym bardziej, że wszystkie religie są wiekowe, mają miliony gorliwych wyznawców i po części są powiązane z uczuciami narodowymi.

Poważną przeszkodę stanowi protestantyzm, który silnie się rozwija w ostatnich czasach. Ma około 3 miliony wyznawców. Jego misje są liczne, bogate, dobrze zorganizowane i często popierane przez rząd. Na pochwałę zasługują szczególnie protestanckie dzieła medyczne, prace społeczne, szkolnictwo.

Kościół katolicki w Indiach sięga czasów św. Tomasza apostoła. Dziś jeszcze „wiernymi św. Tomasza“ nazywają się mieszkańcy malabarskiego wybrzeża. Tutaj pracuje mniej więcej trzecia część duchowieństwa katolickiego, choć kraj ten stanowi tylko dziesiątą część Indyj. Katolicy malabarscy okazują wielką żywotność, mają pierwsze miejsce w dziedzinie wychowania, szkolnictwa, pracy społecznej. Inna grupa katolików, wywodząca się od św. Franciszka Ksawerego, zamieszkuje Wybrzeże Perłowe w południowych Indiach. Biorą czynny udział w życiu społecznym i religijnym, wychowują własny kler i własnych zakonników. Do oddzielnej wreszcie grupy należy zaliczyć diecezje, gdzie pracują zakony powstałe w nowszych czasach. Najbardziej kwitnące diecezje znajdują się na południu Indyj. Zato północne okolice, gdy idzie o katolików, są prawie pustynią. Liczą bowiem tylko pół miliona katolików na 120 milionów mieszkańców. Tutaj rola czeka na pracowników, na wielu, gorliwych siewców ewangelii. *Ams.*

Burma brytyjska Misja saletyńska w prefekturze misyjnej; **Akkyab**, (Burma brytyjska) została w czasie ostatniej wojny zrównana z ziemią, a misjonarze zamknięci w obozach. Przełożony misji bawi obecnie w Stanach Zjednoczonych i zbiera nowe siły i nowe fundusze na odbudowę. Na tę misję przeznaczeni zostali księża: Jan Good i Karol Mc Elhinney. Podajemy listy, w których opisują swoje pierwsze wrażenia na ziemi burmańskiej.

—Miesiąc grudzień był dla nas pełen jasności, a nasz czas tak zajęty, że ledwie wierzyć się chciało, jakoby już był Nowy Rok... Nasze poranki unoszą się na skrzydłach rozmyślania i mszy św. Po śniadaniu lekcja języka burmańskiego i katechizacja miejscowych dzieci katolickich. Język burmański jest trudny. Burmańczyk używa sześciu słów tam, gdzie nam jedno starczy. Pozatem jeden wyraz może mieć kilka znaczeń zależnie od nasilenia głosu. Takich tonacyj ma każdy wyraz aż trzy. Po miesiącu wytrwałej nauki poczyniliśmy pewne postępy. Za rok będziemy głosić kazania w języku burmańskim. Popołudnie poświęcamy dodatkowej pracy ręcznej około naprawy kościoła i obejścia. Chwilowo mieszkamy w zakrystii, gdyż hinduska misja lekarska zajmuje całą naszą posiadłość z wyjątkiem kościoła. Gdym po raz pierwszy stanął w kościele, w pierwszym odruchu chciałem chwytać walizkę i uciekać. Był bowiem w okropnym stanie. Lecz rozsądne myśli wzięły górę nad uczuciem. Zakasaliśmy rękawy i zabraliśmy się do roboty. Usunęliśmy gruzy i poczyniliśmy naprawy, na jakie nam pozwalały fundusze i materiał. Boże Narodzenie pokazało, że nasze wysiłki nie były daremne. Ołtarz, który postawili tutejsi katolicy, to skomplikowana rzecz. Składa się z paki okrytej zewsząd stołowymi obrusami. Na tej podbudowie ustawiliśmy właściwy ołtarz z lnianym nakryciem, z lichtarzami, świecami i innymi przyborami mszalnymi. Za ołtarzem umieściliśmy wielką, ciemno niebieską zasłonę. Służy za ozdobę kościoła, a zarazem jest drzwiami do zakrystii i chroni nasze mieszkanie przed okiem zgromadzonych na kościele, dając nam pewne, skąpe poczucie prywatnego kącika.

W wigilię Bożego Narodzenia, o północy, odprawiliśmy pasterkę. Bez organów... Na szczęście miałem śpiewnik gregoriański i nauczyłem dzieci mszy łacińskiej. Sam dzień świąteczny był pełen szczęścia. Brakowało wprawdzie niejednego, ale istotnej radości nie brakło. Świątynia była pięknie przybrana, mieliśmy nawet papierowy żłóbek z całym wyposażeniem. Zaproszono nas też na trzy obchody gwiazdkowe: jeden urządzały dzieci, drugi żołnierze, trzeci „cywile". Życia i ruchu nie brak. Akkyab bowiem jest siedzibą władz rządowych i okręgowych instytucyj. Widzi się sporo białych europejczyków i zeuropeizowanych azjatów. Obchody na sposób amerykański, amerykańskie tańce i amerykańskie płyty gramofonowe.

Po radości smutek, a raczej przerażenie.. Omal nie ulegliśmy zupełnej katastrofie. W pobliżu kościoła znajduje się misja lekarska posiadająca własną, polową elektrownię. Jednej nocy zapaliły się zbiorniki benzyny: motor rozleciał się w kawałki, a ogień rozszerzał się gwałtownie. Uciekliśmy z zakrystii. Na szczęście strażacy opanowali pożar. Niewiele brakowało, a musielibyśmy postawić nasze łóżka — jeżeliby ocalały — na ciepłym popiele.

Piszę ten list przy świeczce. Jeżeli jej błysk wzbudzi w sercach czytelników serdeczną modlitwę na intencję naszej misji, będziemy z całych sił wdzięczni. Bo w ostatecznym rozrachunku modlitwa jest najpotężniejszą bronią w walce o dusze.

ks. Karol Mc Elhinney

— Nasze mieszkanko w zakrystii nie jest najlepsze. Ściany są drewniane, 3 m wysokie, w dachu dziura na przeszło metr szeroka. Posiadamy dwa koce wojskowe i łóżka polowe. Siatka przeciwmoskitowa broni nas od moskitów i od jaszczurek, które uganiają po murach za owa-

dami. Mamy na dwóch jeden stół, jeden fotel i jedno krzesło składane. Ustawiliśmy już dobrą szafkę na książki; kredens do kuchni skończyliśmy niedawno. Nie byłoby go zapewne, gdyby nie — szczury. Gdy cokolwiek zostawiliśmy na stole, zjawiały się one gromadnie i ciągnęły zdobycz ku drzwiom.

Kościół potrzebuje wielkiej naprawy. Tak zresztą jest na każdej placówce misyjnej. Powiązania chórowe w połowie zniszczone. Robotników znajdzie, z płacą 2 i pół dolara dziennie. Ale o materiał trudno. Okręty bardzo rzadko przybijają do Akkyab. Cięższy bagaż sprowadzamy drogą powietrzną z Rangoon, co też trwa długo. Ta zwłoka ma jedną dobrą stronę: zmusza miejscowych katolików do inicjatywy i pracy. Inaczej, założyliby pewnie ręce, przypatrując się wygodnie. Rodzina emerytowanego urzędnika, p. Cowell, pomaga nam dzielnie. Mąż maluje obrazy dla kościoła i chętnie bierze udział w pracach. Żona, krawcowa, jest niestrudzona w ozdabianiu kościoła. Gdyby takich było więcej, parafia podniosłaby się wkrótce. Niestety obecnie mamy — 80 wiernych. Przed wojną mieliśmy w szkole 500 dziewcząt, liczba wiernych nie była jednak wiele wyższa. Brak nam dobrych książek, jak zresztą w całej Burmie. Listy z Ameryki przychodzą po trzech miesiącach

ks. Jan Good, m. s.

Misja saletyńska w **Arakan** została zrównana z ziemią. Ks. O'Reilly, m. s., po powrocie z japońskiego obozu koncentracyjnego, zabrał się do odbudowy placówki. Z okazji Nowego Roku, 1947, pisze:

— Boże Narodzenie było niezwykłą uroczystością dla tutejszego ludu. Pośpieszyłem się, by przedtem odwiedzić co większe wioski, jak Iawna, Supokon, Shwelhute, Thayetnego. Wszędzie przygotowałem wiernych na święta, wysłuchałem spowiedzi. Dwa dni przed wigilią wysłałem ks. Perpete do Iawna, ks. Gendron do Supokon, ks. Mannering do Thayetnego, ks. Blum do Shwelhute. Na niedzielę, 22 grudnia, wybrałem się do Thayetnego. Po drodze zanocowałem w Shwelhute. Wieś ta odznacza się wzorowym życiem duchowym. W czasie świąt bardzo wysoki procent wiernych przystąpił do św. sakramentów, a dzieci doskonale umiały katechizm. Wkrótce dziewięcioro przystąpi do pierwszej komunii św., a 3 osoby dorosłe otrzyma chrzest.

W Prome odbudowaliśmy kościół na czas, by w nim odprawić pasterkę. W pracy pomagali nam jeńcy wojenni japońscy, których wyprosiłem u komendy obozu. Przyszło mi to tym łatwiej, że kościół służy również wojsku. Kilka godzin przed pasterką przymaszerowali żołnierze i wygrywali co najpiękniejsze kolędy. W czasie nabożeństwa śpiewali mszę gregoriańską. Śpiewem i muzyką dyrygował major, Ryan, Irlandczyk, dawniejszy służący arcybiskupa z Westminster. Żołnierze chcieli grać kolędy przez całą noc. Lecz poprosiłem majora, by raczej przyszli na ranną mszę, na sumę i na popołudniowe nabożeństwo. Zgodził się i dotrzymali słowa. Jestem pewien, że to zrobiło dobre wrażenie i przyczyniło się do zrozumienia wielkości pracy dokonywanej przez Kościół w Burmie.

Kilka dni potem wezwano mię do Yingyaung. Trzech chłopców uczęszczających do naszej szkoły zostało napadniętych w drodze przez dacoitów (burmańskich bandytów). Bandyci uprowadzili ich do niewoli i zażądali okupu w sumie 500 rupij. Okup złożono i chłopcy wrócili do domu. Cała okolica Shwelhute żyje pod terrorem dacoitów. Ja sam musiałem podróżować w towarzystwie ochrony policyjnej. Shwelhute było zabarykadowane. Spodziewano się napadu dacoitów. Wyegzaminowałem 9 kandydatów do pierwszej komunii św. i 3 do chrztu św. Zajrzałem też do Gwegyo. Tu spokojniej, dawno już nie widziano dacoitów. Ochrzciłem 4 osoby.

Gdy wróciłem do Prome, zastałem wieśniaków z Yingyaung, tych samych, którzy byli na Boże Narodzenie. Teraz przybyli z całym dobytkiem. Ciągną wzdłuż rzeki do Swyegwin, gdzie mają swe pola. Zatrzymali się, bo wiedzieli, że ojciec misjonarz chętnie ich przyjmie. Pozostali przez tydzień. Pewnego poranku zapakowali wszystko na czółna i popłynęli z prądem rzeki.

Dziękuję za pamiątkowy numer „Posłańca” z okazji setnej rocznicy. Pokazał nam rozwój i stan dzieł zgromadzenia. Pozdrawiam Ojców, Braci, Dobrodziejów i Czytelników. Proszę o modlitwy, by w tym roku Bóg nadal błogosławił naszym planom.

ks. Jan O'Reily, m. s.

ŻYCIE RELIGIJNE

Biskupem sufraganem lubelskim został mianowany ks. Zdzisław Goliński. Konsekracja odbyła się 3 sierpnia. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele władz i różnych instytucyj. 20 tysięczna rzesza wiernych zaległa plac i ulicę przed katedrą. — Na Ziemiach Zachodnich ciągle brak księży. Jest ich niewiele ponad półtora tysiąca. Mianowicie: administracja gdańska posiada 50 księży, warmińska 176, Śląska Opolskiego 576, Śląska Dolnego 435, gorzowska 283. Podział administracyjny przedstawia się następująco: administracja gdańska liczy 5 dekanatów i 55 parafij, warmińska 16 dekanatów i 191 parafij, Śląska Opolskiego 37 dekanatów i 436 parafij, Śląska Dolnego 43 dekanaty i 525 parafij, gorzowska 21 dekanatów i 244 parafij. Bywa, że parafie obejmują obszar całego powiatu. Kościół prowadzi tu również ożywioną działalność dobroczynną i kulturalną. Pod koniec ubiegłego roku posiadał 22 zakłady wychowawcze, 115 zakładów opiekuńczych, 157 ochronek, 72 sierocińce, 54 szpitale, 100 ośrodków zdrowia, 128 kuchni. 200.000 osób korzystało z pomocy związku „Caritas". — W diecezji włocławskiej jeden ksiądz obsługuje 3160 wiernych, w gorzowskiej 3089, w chełmskiej 2214, podobnie w innych, z wyjątkiem krakowskiej, gdzie na jednego księdza przypada 1064 wiernych.— W Polskim Seminarium Duchownym w Paryżu odbyły się święcenia 5 kapłanów i 2 subdiakonów.

W jednym dniu, 21 czerwca b. r., Ojciec św. beatyfikował trzech kapłanów. — Na wystawach znaczków pocztowych w Ameryce pierwszą nagrodę otrzymał ks. Czech, który w swoim zbiorze posiada 200 znaczków z obrazami Matki Boskiej, wydanych w 22 krajach, i 41 znaczków z 16 krajów, przedstawiających św. Gabriela. — Rocznicę społecznych encyklik papieży Leona XIII i Piusa XI w wielu krajach obchodzono uroczyście. W parlamencie angielskim jeden z posłów odczytał dwa wyjątki z encykliki Leona XIII „Rerum novarum": jeden dotyczący prawa własności, drugi mówiący o konieczności poprawy bytu warstw pracujących. — Obraz Matki Boskiej Fatimskiej jest w drodze z Fatimy (Portugalia) do Rzymu. Obraz niesie procesja, która się zmienia od diecezji do diecezji. — Radio watykańskie oświadczyło: „Przeciwieństwo między Kościołem, a masonerią ma charakter zasadniczego poglądu na świat i uniemożliwia wszelkie porozumienie. To przeciwieństwo zaostrzyło się ostatnio. Od założenia pierwszej loży upłynęło przeszło 200 lat i Kościół nie zmieniał swojego stanowiska i nie zmieni". Żyd francuski, wybitny poeta, Werfl, napisał książkę „Pieśń o Bernadecie", sławiąc w niej św. Bernadetę, którą Najświętsza Panna obrała na świadka Swoich objawień w Lourdes. Werfl w czasie wojny ukrywał się w Lourdes przed Niemcami i uczynił cud, że, jeżeli ocaleje, napisze najpiękniej, jak będzie mógł, o św. Bernadecie. Ocalał i słowa dotrzymał, ale do końca życia nie przyjął chrztu. — Największa parafia na świecie znajduje się na biegunie północnym. Obejmuje tereny, przeważnie morskie, na północ od Norwegii. Proboszczem jest Francuz, ks. Quesnes. Zimę spędza na północ od Norwegii, na Morzu Lodowatym, gdzie ma swój kościół parafialny. Wiosną, gdy renifery i mieszkańcy tamtejszych okolic ruszają na północ, śpieszy za nimi i ks. Quesnes, aby

w razie potrzeby swoim parafianom służyć posługą duchowną.— Pierwszą mszę św. na biegunie północnym odprawił ks. Minster z Jowa (U.S A.), kapelan sterowca „Mount Olympus" w czasie styczniowej wyprawy podbiegunowej. Na biegunie południowym członkowie wyprawy Byrda, odprawili nowennę do Matki Boskiej Cudownego Medalika.— Nawrócona z protestantyzmu na katolicyzm świetna pisarka norweska, Undset, napisała książkę „Historia św. Katarzyny ze Sieny". Św. Katarzyna żyła 600 lat temu i wywarła wielki wpływ na dzieje Kościoła w owym czasie, między innymi spowodowała, że papież z Awinionu wrócił do Rzymu, kładąc koniec t. zw. babilońskiej niewoli papiestwa.

Warto posłuchać tych dwóch mężów. Jeden to generał Mac Arthur, obecny władca Japonii. „Jestem przekonany — mówi — że za dziesięć lat Japonia będzie chrześcijańska. Kiedy w czasie kapitulacji głosiłem, że światowe zagadnienia można rozwiązać tylko na zasadach teologicznych, myśleli niektórzy, żem oszalał. Dziś, bardziej, niż kiedykolwiek, jestem o tym przekonany. Zagadnienia świata są w zasadzie zagadnieniami duchowymi. Gospodarstwo, polityka to tylko powierzchowne trudności, które przychodzą i odchodzą. U korzeni naszego zamieszania tkwi niedostatek religijnej wiary. Im prędzej to zrozumiemy, tym prędzej będziemy mieli porządek i spokój".— Drugi to sławny uczony, Albert Einstein, który nigdy nie był wyznawcą chrześcijaństwa. A jednak mówi: „Byłem miłośnikiem wolności, więc, gdy w Niemczech wybuchła rewolucja, zwróciłem się do uniwersytetów, by broniły wolności; kazały mi milczeć. Zwróciłem się do wielkich wydawnictw, które dawniej głosiły hasła wolności; ale i one zamilkły. Jeden tylko Kościół opierał się zakusom Hitlera. Nigdy przedtem nie interesowałem się zbytnio Kościołem, ale teraz mam dla niego cześć, bo on jeden odważnie bronił prawdy i wolności. Muszę przyznać, że to, czym dawniej gardziłem, teraz chwalę bez miary".

Z końcem czerwca b. r. odbył się w Brukseli międzynarodowy kongres katolicki dla spraw filmu. W zjeździe brały udział: Francja, Belgia, Holandia, Hiszpania, Włochy, Dania, Luksemburg, Szwajcaria, Czechosłowacja, Austria, Anglia, Stany Zjednoczone, Meksyk, Peru, Kanada. Przedmiotem obrad był stosunek filmu do religii. W tym samym czasie odbył się w Ottawie (Kanada) międzynarodowy kongres ku czci Najśw. Panny Marii. Wzięli w nim udział przedstawiciele prawie wszystkich narodów Europy i Ameryki. Przybyło 10 kardynałów, 200 biskupów. Rząd Kanady stawił się oficjalnie. Dwóch ministrów odczytało ślubowanie narodowe. Premier rządu choć sam nie katolik, witał kongres serdecznie, a generał Aleksander przyjmował oficjalnie papieskiego delegata. W tym samym czasie, i też w Kanadzie, w mieście Montreal, odbył się międzynarodowy kongres katolickiej młodzieży robotniczej, t. zw. J. O. C. Przybyło 350 delegatów z całego świata, nawet z Chin i Japonii. Obrady toczyły się w językach: francuskim, angielskim, hiszpańskim i niemieckim. I jeszcze jeden międzynarodowy zjazd katolicki: lekarzy, w Lizbonie (Portugalia). Przybyli delegaci z całego świata. Jedyną delegacją słowiańską byli Czesi.— Z początkiem lipca, w Nantes (Francja) miał miejsce narodowy kongres eucharystyczny, pod przewodnictwem legata papieskiego, kardynała Roques. W uroczystościach brało udział 300.000 wiernych, 60.000 dzieci przystąpiło do komunii św.

Ks. Bonga, murzyn z samego serca Afryki, jest posłem do parlamentu francuskiego. W czasie pobytu we Francji wygłosił odczyt o wolnościowych dążeniach ludów afrykańskich. — Król Konga, Piotr Mutara, otrzymał od Ojca św. wysokie oznaczenie, order św. Grzegorza. Order wręczył królowi arcybiskup Dellepiane, delegat apostolski w Kongo. W uroczystościach wzięli udział: królowa, królowa-matka, król Urundi (niekatolik) pięciu naczelników plemion i 20 tysięcy ludności. W zrozumieniu praw i poszanowania ludzi kolorowych, Stolica Apostolska dawno wyprzedziła państwa europejskie. Wystarczy wspomnieć, że w roku 1926 papież Pius XI osobiście konsekrował sześciu Chińczyków na kardynałów.

„Najnowsze wydarzenia w Anglii zmieniły zupełnie stosunek protestantów do Kościoła katolickiego. Siły i wpływ katolicyzmu wzrastają ciągle i to stanowi najbardziej znamienny rys powojennej Anglii. Jest to zjawisko o światowym znaczeniu" — pisze katolicki pisarz Douglas Jerrold. Rzeczywiście! Jeszcze sto lat temu katolicy byli w Anglii upośledzeni, ledwie tolerowani. Nie liczono się z ich głosem nigdzie, nie dopuszczano ich do żadnych wyższych stanowisk. Całkiem niedawno, bo w r. 1902, gdy parlament angielski debatował nad szkolnictwem, padło wiele słów niechęci i zaciętości pod adresem katolików. Natomiast w r. 1944, przy tej samej okazji posłowie mówili z szacunkiem i sympatią o katolikach, okazując zrozumienie dla ich wniosków. Tuż przed wojną katolicy angielscy posiadali 1266 własnych szkół powszechnych, a 537 średnich, wystawionych i zaopatrzonych własnym kosztem; co więcej, szkoły te po uruchomieniu, otrzymały zapomogi rządowe. Społeczeństwo angielskie interesuje się żywo i coraz więcej sprawami religijnymi. Książki o tematach religijnych cieszą się wielką poczytnością. Otóż i pod tym względem angielscy katolicy spisują się dzielnie, zajmują jedno z pierwszych miejsc w świecie. Że społeczeństwo angielskie chętnie bierze do ręki katolicką książkę, świadczy fakt rozsprzedania w ciągu pięciu dni całego nakładu dzieła francuskiego pisarza katolickiego. Mauriaca, „La pharisienne", tłumaczonego na angielskie. Angielskie tygodniki katolickie stoją na wysokim poziomie. Pierwsze miejsce zajmuje „The Tablet" wychodzący w 30.000 egzemplarzach, na który często powołuje się nawet radio brytyjskie. Wśród szerokich mas poczytny jest „Catholic Times" (130.000 egzemplarzy). Katolickie stowarzyszenie wydawnicze. „The Catholic Trust Society" liczy 19.308 członków. Organizacja ta rozprowadziła wśród społeczeństwa półtora miliona broszur o Kościele katolickim, w tym 130.000 samych modlitewników. Toteż nawrócenia są częste i obejmują wszystkie warstwy społeczne. Lord Pakenham, kanclerz księstwa Lancashire, obecny szef administracji w brytyjskiej strefie okupacyjnej, przeszedł niedawno z anglikanizmu do Kościoła katolickiego.

Na 140 milionów ogółu mieszkańców w Stanach Zjednoczonych Kościół katolicki liczy 25 milionów wiernych praktykujących. Na czele tej rzeszy stoi trzech kardynałów, przeszło 20 arcybiskupów i ponad 100 biskupów. Wybitną osobistością jest kardynał Spellman, osobisty przyjaciel papieża Piusa XII. Jemu fotografowie i dziennikarze mają do zawdzięczenia, że byli naocznymi świadkami wspaniałej uroczystości mianowania nowych kardynałów. On jest pierwszym biskupem, który zdał egzamin pilota. W czasie wojny by naczelnym duszpasterzem wojsk amerykańskich, mając pod swoją władzą 5.370 kapelanów. Odwiedził wszystkie pola bitew, gdzie znajdowały się wojska amerykańskie, był w 24 krajach, przelatując samolotem 100.000 mil. — Nawrócenia Żydów na wiarę katolicką w Stanach Zjednoczonych są obecnie liczniejsze niż przed wojną, przybrały charakter strumienia — jak się wyraził rabin nowojorski.

Na brak duchowieństwa katolickiego cierpią: Francja i Jugosławia. We Francji na 9.000 parafij jedna trzecia jest pozbawiona duszpasterzy. W Jugosławii przed wojną było 1.916 księży, dziś jest 400 Nawet w katedrze biskupiej w Lublanie brak księży. Toteż Ojciec św. zezwolił, by w niedziele i święta odprawiano msze św. wieczorne w tych parafiach, które, nie mając swoich duszpasterzy, zdane są na obsługę dojeżdżających. — Katedra w Wiedniu bardzo ucierpiała w czasie wojny. 200 robotników pracuje stale nad jej remontem. Dotychczas usunięto 20 tysięcy ton gruzu. Na Boże Narodzenie bieżącego roku katedra będzie oddana do użytku wiernych, ale prace nad odnowieniem świątyni potrwają jeszcze lata.

Na południe od Australii leży wyspa Tasmania. Australijscy księża redemptoryści dojeżdżali do Tasmanii na misje. Obecnie założyli tu, w mieście Newton, swój klasztor. W Hong Kongu Katolickie Stowarzyszenie Wiary wydało mszał w chińskim tłumaczeniu dla niedzielnego użytku wiernych. „Nigdy przedtem nie po-

ważano Kościoła katolickiego w Chinach tak jak obecnie — pisze ks. Patrick O' Connor — uprzedzenia do katolicyzmu zmalały znacznie. Jeżeli Ameryka chce współzawodniczyć w dziele misyjnym, musi wysyłać do Chin corocznie tysiąc misjonarzy".

— Misjonarze kanadyjscy prowadzili dotychczas misje tylko w Chinach. Obecnie przenieśli się i do Japonii. Katolicki uniwersytet w Tokio (Japonia) jest czynny. Liczy 800 słuchaczy, z których tylko piąta część należy do Kościoła katolickiego. Profesorami są, oczywista, katolicy, tak Japończycy, jak obcokrajowcy. Na 70 profesorów 20 przyjęło wiarę katolicką dopiero na uniwersytecie.

Co wiem o Bogu?

Pewna pani oddała ziemi, co miała najdroższego. Złamana bólem przychodzi do mnie. „Proszę mi pożyczyć książki o życiu zagrobowym. Nic mię ze ziemią nie łączy. Chciałabym wiedzieć, co jest tam! Tam już są moje myśli i moje serce. Co ja wiem o Bogu? Jaki jest Bóg? O tym wszystkim dotychczas mało myślałam".

Aż tak wielkiej ofiary było potrzeba, aby uwagę tej kobiety zwrócić na wieczność, na Boga, na konieczność poznania Boga przez czytanie, naukę, modlitwę. Otworzyłam jej swą bibliotekę. Niestety, z 3 tysięcy dzieł wyborowych pozostało tylko kilkadziesiąt. Resztę zniszczyła wojna. Czym usłużę?

Ile dusz wokoło nas podobnie, jak wspomniana osoba, szuka Boga. Świat im nie wystarcza. Jakiś czas, być może, starczył. Teraz już nie! Przeszły głęboki przełom duchowy. Szukają dla siebie innej, niż dotychczas, strawy. Czy wiele parafij zdołało uratować swoje zbiory książek, by je teraz udostępnić potrzebującym? By otworzyć po wioskach i miastach czytelnie, wykłady, kursy religijne?

Kiedyś, w Rzymie, poznałam zakon Sióstr Wynagradzających. Dniem i nocą prowadziły adorację Najśw. Sakramentu, trwały na modlitwie za konających. Miały cudowną bibliotekę, urządzały konferencje religijne, zapraszając z wykładami co najcelniejszych uczonych. Oddawały do dyspozycji wiernych pokoiki klasztorne, gdzie można było się odosobnić skupić w smutku, czy przed wyborem stanu. Same zakonnice, będąc kobietami wykształconymi, służyły poradą w sprawach wątpliwych, lub wskazywały odpowiednich specjalistów.

My dziś, jak na pustyni. Zalewa nas fala trosk powojennych. Pan Bóg jednak żyje chce nas przygarnąć, uciszyć. Nie tylko na modlitwie, ale też przez pogłębianie wiadomości religijnych o Bogu i Jego świętych, którzy przeszli bohatersko przed nami drogę życia.

Głodni szukają chleba, nie tylko tego powszedniego na domowym stole; rozglądają się również za duchową strawą.

Różne wydawnictwa powoli wracają do życia: czasopisma, broszury apologetyczne i społeczne. Słychać o wyższych instytutach religijnych dla osób świeckich, o popularnych odczytach przy kościołach parafialnych. Tylko jeszcze więcej, jeszcze głębiej, jeszcze goręcej! Szerzenie wiedzy religijnej jest nieodzowną koniecznością!

Nieznajomość bowiem podstawowych prawd wiary i spraw z nią ściśle złączonych jest niekiedy przerażająca. Oto próbki:

Odbywa się lekcja religii dla młodzieży, takiej już po szesnastce Ksiądz katecheta pyta:

— Ile lat temu żył Chrystus? — Uczniowie milczą, patrząc na siebie i księdza wielkimi oczyma Któryś wreszcie wykrztusił, Tysiąc. — Inny: Więcej. — Jeszcze inny: Mniej.

— W jakim kraju żył Chrystus? — Znowu dłuższe milczenie i nieśmiałe bąknięcie: W Egipcie. — Inni uczniowie wymieniają przeróżne kraje. Wreszcie trafiają na Palestynę.

— Ile lat nauczał Pan Jezus? — Dwanaście, trzydzieści, więcej nawet.

— Kim jest Chrystus? — Jedni odpowiadają: Bogiem. — Inni: Człowiekiem. — Wkońcu udaje się złożyć odpowiedź: Był Bogiem i Człowiekiem w jednej osobie.

— W jakiej osobie: Boskiej czy ludzkiej? — Zdania zupełnie podzielone: jedni utrzymują, że w Boskiej, inni, że w ludzkiej.

— Którą osobą Boską jest Pan Jezus? — Kilku: Trzecią! — Większość jednak: Drugą.

— Która z trzech osób Boskich jest najstarsza? — Cała klasa: Pierwsza!

— Która najsilniejsza? — Wszyscy odpowiadają: Pierwsza!

— Która najlepsza? — Głosy się dzielą. Duża część uczniów opowiada się za drugą osobą Boską.

— Ile lat, w takim razie, pierwsza osoba Boska jest starsza od dwu innych? — Przez chwilę bardzo głębokie milczenie, widać zakłopotanie uczniów. Któryś wreszcie zbiera się na odwagę i wygarnia parę tysięcy lat.

— To więc był czas, że druga i trzecia osoba Boska nie istniały? A były Bogiem jednym, jedynym. Jak mogły być Bogiem, a nie istnieć? — Całkowita konsternacja wśród uczniów. Z gmatwaniny swoich pojęć nie mogą wydobyć nic jasnego i zdecydowanego.

Inna lekcja:

— Co to jest komunia święta? — Wszyscy: komunia św. jest to Pan Jezus.

— Prawdziwy? — Po dłuższym milczeniu, chwiejna odpowiedź: Prawdziwy.

— Żywy? — Kilka głosów: Żywy. — Reszta uczniów jest wyraźnie zdezorientowana

— Taki, jaki był, kiedy chodził po ziemi? — Większość głosów: Nie, inny! — Reszta uczniów milczy, nie mogąc się zdecydować ani na jedną, ani na drugą stronę.

— Inny? Więc w komunii św. Pan Jezus nie jest Bogiem? — Jest!

— Nie jest człowiekiem? — Jest!

— Ma duszę? — Ma!

— A ciało? — Znowu milczenie. Po chwili, jedni utrzymują: Ma; drudzy: Nie ma.

— Jest człowiekiem, a nie ma ciała? — Widząc, do jakiej sprzeczności doszli, zmieniają zdanie: Ma ciało!

— To ciało Pana Jezusa ma krew? — Głosy znowu podzielone: Ma — nie ma!

— Ciało bez krwi? Jakim staje się ciało, gdy w nim nie ma krwi? — Martwym!

— Więc Chrystus jest martwy w komunii św.? — Wszyscy przeczą energicznie.

* * *

Księża katecheci, udzielający religii w szkołach dla dorastających i zupełnie dorosłych, raz po raz przekonują się, jak wielu katolików, nawet zupełnie porządnych i praktykujących, nie ma jasnych poglądów na podstawowe prawdy wiary. Należałoby wołać wielkim głosem o Towarzystwo Uniwersytetów Religijnych dla szerokich rzesz katolickich.

B. Cz.

Państwo Sprzykrzalscy w sądzie

Wezwano mię do sądu. Ha, trudno, trzeba spełnić obowiązek obywatelski. Mam świadczyć w sprawie: Sprzykrzalski-Sprzykrzalska.

Jego broni adwokat, jej adwokatka. Ani on nie jest wrogiem kobiet, ani ona przeciwniczką mężczyzn. Stwarza to miłą platformę, na której ewentualnie można się porozumieć. Mam rozwinąć przed sądem dzieje pewnej Nocy Wigilijnej, przeszło dziesięć lat temu. Wówczas — nie mogłam pani Sprzykrzalskiej długo tego zapomnieć — zamiast gwiazdora, ona zapukała do moich drzwi, z ranami ciętymi na głowie. Wszystko to dziś z wiatrem przeminęło.

Na wokandzie sądu sprawa przyszłych rozwodników widnieje pod nr. 3. Jest więc dość czasu, by wyrobić sobie pogląd na całą rzecz. Gromadzimy się na korytarzach gmachu sprawiedliwości. Świadek, jako najmniej zaangażowany, przychodzi odważnie pierwszy. Za mną zjawia się pan Sprzykrzalski, bo mu niezmiernie pilno do wolności. Zamyślona, niezdecydowana, kroczy jako ostatnia pani Sprzykrzalska, ofiara mę? żowskiego gniewu. I myśli: dać ten rozwód czy nie dać-

Przeżyli górnie i chmurnie kupkę lat z sobą. Zdążyli już nawet zostać dziadkami. Godząc się na rozwód, dowiedzie tym samym, że jest winna i straci prawo do utrzymania. Nie da rozwodu, prześladować ją będzie, włóczyć po sądach, ze szkodą dla zdrowia i sił.

Małżonkowie stoją naprzeciw siebie. Na szczęście w bezpiecznej odległości. Od czasu do czasu patrzą na siebie, jak dwaj wrogowie, zapamiętali i jakże nieszczęśliwi! Czy jest powód do rozwodu? Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie...

— Wie pani — powiada Sprzykrzalska — najgorsze to, że mój mąż nigdy mię nie zdradzał.

— A pije? — pytam.

— Ach, ten skąpiec!... Chyba, że mu to było potrzebne do wywołania awantury. Ten gbur, prostak, tyle się nacierpiałam.

— A o co wam właściwie chodzi?

— Jak mnie zbił, to mu uciekłam, więc pewnie o to.

— A czemu panią bił?

— Właśnie dlatego, że gbur i prostak... Ale pani gorsza od mojej adwokatki. Ona mi wierzy na słowo, przyznaje rację i współczuje ze mną.

— A ile wzięła?

— Na razie dwa tysiące: powiada, że jeszcze zażąda trzy.

— I co, pewnie to dla pani wielki wydatek?

— Mam teraz prace, więc będę ratami spłacała.

— A czy musi być rozwód?

— Toć on winien. Mam się tak dalej męczyć?

— Patrzę na mężczyznę stojącego naprzeciw nas i rzucam pytanie:

— A gdybyście się pogodzili? Chce pani, porozmawiam z mężem?

Moje pytanie paraliżuje panią Sprzykrzalską, ale ja już jadę dalej i pytam natarczywie: więc co mu powiedzieć?

— On nie zechce z panią rozmawiać. Twardy, nieustępliwy. Zresztą, czy ja wiem?

Użyłam całej swej sztuki dyplomatycznej, by nakłonić pana Skrzykrzalskiego do rozmowy.

— Ktoby zechciał rozmawiać ze świadkiem mej byłej żony

— Ile liczy sobie adwokat? — pytam.

— Trzy, ale powiedział, że jeszcze tylko dwa, jeżeli się wnet skończy.

— Czemu pan wnosi o rozwód?

— Nie mogę wytrzymać. Przychodzę do domu, a tu nie ma obiadu, a żona w mieście. W dodatku wszystko mi wynosi, a ja sam w jednych portkach.

— A pan już widział adwokata w jednych portkach? Przypuśćmy, że żona nie gotuje obiadu, a czy może nie dlatego, że ją pan bije?

— Ja bym kobiety za nic nie uderzył, nawet gdyby nie było obiadu...

— Ale rozwodu pan chce?

— Ona temu winna. Rujnuje mię.

— Wie pan, kto was rujnuje? Sądy, adwokat. Wtajemniczacie obcych w swoje osobiste sprawy, czy to nie wstyd? I co z tego wyniknie? Zdarzy się czasem, że adwokat jakiś sprawy rozwodowej nie bierze dla chrześcijańskiej zasady i pod tym kątem widzenia dąży do pogodzenia powaśnionych. Rozwodą was i szczęścia wam nie zapewnią. Czy druga z ślubem cywilnym będzie lepsza? Życie nie jest plastrem miodu — tłumaczę jak mogę.

Widzę, że coś nie coś wchodzi do mózgu pana Sprzykrzalskiego. Nagle pochyla się poufnie do mnie: Przy niej stoi jej adwokatka, niech pani idzie posłuchać, co one ze sobą konszachtują.

„Czy on winien, czy ona winna" — myślę sobie, idąc ku adwokatce i jej klientce. A kiedy wzywają nas na salę sądową, mam plan gotowy. Wpierw zeznaję wszem wobec, jak to tam kiedyś było, a potem zwracam się do powaśnionych małżonków, by się pojednali. Moją myśl podchwytuje sędzia i nakłania Sprzykrzalskich do zgody. Mam pewność, że to samo uczyni adwokat rozsierdzonego małżonka. Nikt z obecnych nie wie, że poprzedniego dnia odwiedziłam go w tej sprawie. Uważałam, że kwota pięciu tysięcy złotych, wydana wspólnie przez małżonków, wystarcza na okupienie ponownej zgody domowej. Drugie pięć, jeszcze nie wydanych, jakby znalazł na dnie komody; przydadzą się w odnowionej zgodzie małżeńskiej.

Aniela Juszczak.

†

Nasi zmarli

Franciszka Kośmiodrowa z Zemska, Maria Maślaniec z Woli Batorowskiej, Krupnicka Anna z Krakowa, Świerz Maria z Binarowej, Józefa Majkutowa z Kołaczyc, Waleria Zycka z Ostrzeszcwa, Helena Machnik z Krosna, Paulina Pulnarowicz z Tarnowa, Jakub Kosiba z Belny, Anna Kasprzakowa z Mosiny, Apolonia Augustynek z Gorlic.

Polecamy gorącym modlitwom duszę

śp. Pauliny Feruś, *matki ks. J. Ferusia m. s.*

i

śp. Katarzyny Bąk, *matki ks. Tad. Bąka, m. s.*

Związek Mszalny Księży Misjonarzy Saletynów

Dla odkupienia duszy naszej Chrystus Pan złożył na krzyżu krwawą ofiarę. Przez nią sprawił, że droga do nieba stanęła przed nami otworem. Byśmy tę drogę szczęśliwie przebyli, Zbawiciel nadal składa ofiarę krzyżową, ale już bez przelewania krwi, we mszy św. Przez mszę św. niezliczone łaski spływają dla poratowania duszy ludzkiej. Przez mszę św. Pan Bóg błogosławi naszym dobrym staraniom, odwraca od nas nieszczęścia duszy i ciała, utwierdza w chrześcijańskiej radości, pociesza w smutku. Przez mszę św. Chrystus w szczególny sposób w Eucharystii zamieszkuje wśród nas.

Księża Misjonarze Saletyni pragną jak najwięcej łask mszy św. zapewnić swoim Dobrodziejom, Współpracownikom i wszystkim wiernym. W tym celu założyli Związek Mszalny, zobowiązując się odprawiać pewną ilość mszy św. wyłącznie na intencję osób, które się do Związku Mszalnego zapisały.

Za członków Związku Mszalnego odprawia się rocznie 150 mszy św (trzy tygodniowo, zwykle w środę, piątek i sobotę).

Do Związku Mszalnego można zapisywać żywych i umarłych. Można zapisywać siebie i drugich, nawet bez ich wiedzy. Jeżeli osoba, która była zapisana do Związku Mszalnego za życia, umrze, nie potrzeba jej zapisywać drugi raz, bo nadal będzie korzystać z owoców mszy św By kogoś wpisać do Związku Mszalnego, należy przesłać jego imię i nazwisko do Księży Misjonarzy Saletynów w Dębowcu.

Ofiara od jednej osoby wynosi obecnie 50 zł. Ofiarę składa się tylko raz. Osoba, raz wpisana do Związku Mszalnego, jest jego członkiem na zawsze.

Ofiary Związkowe są przeznaczone na wychowanie przyszłych misjonarzy Matki Boskiej Saletyńskiej. Polska prowincja Księży Misjonarzy Saletynów posiada własne szkoły, wktórych kształcą się kandydaci do pracy kapłańskiej i misjonarskiej. Pochodzą przeważnie z rodzin niezamożnych, toteż Zgromadzenie Księży Saletynów utrzymuje ich w dużej części własnym kosztem I właśnie ofiary napływające do Związku Mszalnego są przeznaczone na powyższe szkoły. Wszyscy więc, którzy siebie lub drugich zapisują do Związku Mszalnego, stają się wychowawcami przyszłych kapłanów i misjonarzy, a przez to uczestniczą w ich pracach i zasługach. A zaprawdę wielka to rzecz. Rozważmy to wyznanie sławnego ks biskupa Bougaud: „Gdybym był pozostał w świecie, życzyłbym sobie, aby jaki kapłan, zawdzięczając mi swe powołanie, stawał co rano przy ołtarzu i jako tarcza ochronna zasłaniał mnie i moje dzieci przed ciosami sprawiedliwości Bożej”.

Podziękowania złożone Matce Boskiej Saletyńskiej

Anglia — Z całego serca dziękuję Matuchnie Saletyńskiej za szczególną opiekę nade mną w czasie mojej wędrówki po szerokim świecie, a zwłaszcza w czasie walk we Francji, gdzie byłem ciężko ranny i przyszedłem do zdrowia. Matuchnę Saletyńską proszę gorąco o dalszą opiekę i błogosławieństwo dla całej rodziny.

Alojzy Motyka

Częstochowa — Składam serdeczne podziękowanie Matce Boskiej Saletyńskiej za szczęśliwy powrót męża i zdrowie dziecka, oraz proszę o dalszą opiekę i błogosławieństwo

G. R. i H. Ł.

Krosno — Serdecznie dziękuję Matuchnie Najświętszej za otrzymanie dobrego końcowego świadectwa i za szczęśliwe zdanie egzaminu do liceum.

K. Maria

Przemyśl — Matce Boskiej Saletyńskiej zawdzięczam, że szczęśliwie wyszłam z ciężkiego zapalenia stawów, które groziło mi utratą prawej ręki. Również serdecznie dziękuję za zdrowie bratanka, który uległ ciężkiej katastrofie i zmasakrowany leżał bez przytomności przez 12 dni. Dzięki modlitwom, mszom św. i wodzie saletyńskiej cieszy się dziś najlepszym zdrowiem. I za wiele innych łask otrzymanych w czasie wojny składam gorące podziękowanie.

L. Kramarzowa

Rogalin — Matuchnie Bożej Saletyńskiej składam podziękowanie za cudowne wyleczenie mego 12-letniego synka z ciężkiej choroby oczu, kiedy wszelka pomoc lekarska była bezskuteczna.!

W Dłubała

Rylowa — Prosimy o ogłoszenie w „Posłańcu Matki Boskiej Saletyńskiej" podziękowania za cudowne uleczenie z ciężkiej choroby Julii Skórnóg, naszej matki. Ciężko chorą nie chciano przyjąć w szpitalu, jako niebezpiecznie i nieuleczalnie chorą na złośliwego czyraka wargi górnej, którego ropa sięgała już mózgu. Matuchna Boża Saletyńka dopomogła w tak widoczny sposób, że zadziwiło to lekarzy i wszystkich obecnych przy tej okropnej chorobie. Po odprawieniu nowenny chora wróciła ze szpitala do domu i w kilku następnych dniach przyszła zupełnie do zdrowia.

Wdzięczni Matuchnie B. Saletyńskiej odbyliśmy pielgrzymkę do Jej kościoła w Dębowcu, by u Jej stóp podziękować za tę wielką łaskę. Prosimy Ją o dalszą opiekę. Cześć Matki Bożej Płaczącej szybko wzrasta w naszej okolicy. My ze swej strony pamiętać będziemy o ofiarach dla Matuchny Bożej tak hojnej w rozdawaniu łask.

Głąbowie

Świerchowa — Matce Boskiej Saletyńskiej składam podziękowanie za łaski otrzymane w czasie wysiedlania i okupacji niemieckiej, a szczególnie za wybawienie mię z rąk gestapo.

Szczęsny Paweł

Nadto dziękują za łaski otrzymane i proszą o nowe: Helena Majchrzakowa, Kujawski Stanisław z Żyrakowa, Zofia Piłatowa z Ruszowa, Antoni Florek z Zbylitowskiej Góry, Katarzyna Wacławek z Opalenicy, Władysław i Jadwiga Flaszczowie z Jordanowa, Andrzej Szczygieł z Gniezna, Aleksander Rylewicz z Kołobrzegu, Krystyna Jackowska z Łodzi, Michalina Tomaszewska z Włocławka, Stanisława Wójcik z Płocka, Franciszek Precel z Lublina, Helena Skrzyńska z Poznania, Maria Urban z Rzeszowa.

bują wszyscy. Anglia ma go dość. Przed pierwszą wojną światową pokrywała 55% światowego zapotrzebowania na węgiel, przed tą 37%. Teraz wywóz węgla z Anglii niemal ustał. Brak sił roboczych. A nawet stała się rzecz niesłychana: w angielskich portach zjawiły się okręty amerykańskie, przywożąc węgiel. Zjawiły się i w innych portach Europy, dostarczając w pierwszej połowie tego roku 25 i pół miliona ton węgla za 500 milionów dolarów. 500 milionów dolarów zysku dla Ameryki to tyleż straty dla Anglii. Nic dziwnego, że naród angielski woła: Jakie są plany rządu, co robi rząd, czy jest rząd? Rząd czyni rozpaczliwe wysiłki, aby ratować życie gospodarcze kraju, przemysł, handel, pieniądz, siebie samego. Wprowadził zakaz wymiany funtów szterlingów na dolary. Ograniczono wyjazdy za granicę, by pieniądz pozostał w kraju. Nawet przedsiębiorcy w razie wyjazdu otrzymują przydział tylko 8 funtów dziennie. Zagraniczne podróże dla przyjemności są niemożliwe. Nawet w kraju nie bardzo można „używać”, bo przydział benzyny zniesiono. Co gorsza, Anglicy muszą przyciągać pasa. Rząd brytyjski chce więcej wywozić niż przywozić. Wywozić lub zginąć! Zmniejszono przydział żywności, i tak już skąpy. Opracowano plan celem zwiększenia produkcji żywności w kraju. Anglik ma się żywić w 90 procentach mięsem, mlekiem i jajami. Przemysł rolniczy ma dać 60% wieprzowiny, 17% wołowiny, 16% mleka, 74% jaj więcej niż dotychczas. Zbiór pszenicy zwiększy się o 41%, jęczmienia o 23%, owsa o 6%. Wprowadzi się uprawę lnu na większą skalę. Kiedyś może będzie lepiej. Teraz jednak jest ciężko. Premier rządu, Attlee z trudem uzyskał dla swoich planów poparcie własnej partii, socjalistycznej. Zażądano zmniejszenia stanu armii. Według planu demobilizacyjnego, na wiosnę przyszłego roku jeszcze milion ludzi będzie pod bronią, z tego 700.000 w samej Anglii. „Na co — pytają Anglicy — kiedy wystarczy 80.000?” Druga rzecz, której przeciętny Anglik nie może strawić: strefa okupacyjna w Niemczech! Na jej wyżywienie skarb angielski wydał w jednym roku 170 milionów dolarów. Czy te dolary nie przydałyby się Angli? Toteż skrytykowano potężnie premiera Attlee, powiedziano mu, że nie ma zalet wodza. Stary Churchill wyraził się, oczywista, mocniej, zarzucając mu, że nie stoi na wysokości zadania, czyli, mówiąc zwyczajnym językiem, powinien odejść. Pewną pociechą dla stroskanych Anglików jest wiadomość, że wszystkie dominia radzą, jakby pomóc „macierzy”.

Oczywista, trudności angielskie muszą się odbić i na innych krajach, przede wszystkim na Francji, która i bez tego ma wiele zmartwień. Przede wszystkim z wyżywieniem ludności. Powierzchnia pól, zasianych w tym roku, wynosi 3,325 000 ha, podczas gdy w roku ubiegłym: 4.131.000 ha, a przed wojną: 5.227.636 ha. Zbiór z ha wynosił w roku ubiegłym przeszło 16 kwintali, w obecnym nie całe 11. Omłot zboża da około 3.630.000

ton, a potrzeba 4.250.000 ton, żeby każdy obywatel otrzymał dziennie 250 gramów. Z mięsem jest trochę lepiej. Lecz, ponieważ ceny idą ciągle w górę, żyjący z pensyj nie mogą kupić mięsa w zadowalającej ilości, podczas gdy spożycie mięsa na wsi jest większe niż przed wojną. Więc toczy się walka o większe pensje. Rząd opiera się z trudem, półkrokiem ustępując żądaniom związków zawodowych Do zatargów i to krwawych na tle płac doszło nawet w afrykańskiej francuskiej kolonii, Tunisie. W rozruchach maczała palce i wolnościowa Liga arabska. Sąsiedni Algier, uważany niejako za część Francji, też się rusza. Dotychczasowe formy rządzenia w Algierze przestarzały się, do opracowania nowych jeszcze nie doszło. Idzie, zdaje się, już nie o to, by Francuzi panowali w Algierze, ale by mogli spokojnie współpracować z tuziemcami. Ciągle też nie są jeszcze ułożone sprawy w Indochinach francuskich.

Indie brytyjskie zostały podzielone na dwa wolne dominia angielskie: Hindustan (dla Hindusów) i Pakistan (dla muzułmanów). Niebawem jedni i drudzy złożyli wolności hojną ofiarę. Doszło między nimi do krwawych zaburzeń i w paru dniach zginęło 100 000 Hindusów i tyluż muzułmanów. Rozruchy trwają dalej.

Adres zwrotny:

Księża Misjonarze Saletyni
Dębowiec, pow. Jasło, woj. rzeszowskie.

P.T. Biblioteka Jagiellońska
Kraków, św. Anny 12.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej
W Przemyślu, dnia 20 września 1947. L. 4159. — — S-0104
Wydawca: KSIĘŻA MISJONARZE SALETYNI, DĘBOWIEC, powiat JASŁO, woj. RZESZOWSKIE.
Konto w P. K. O.: RZESZÓW, IX—404. Redaguje zespół.

Czcionkami Drukarni Miejskiej w Rzeszowie, ul. 3-go Maja 9.